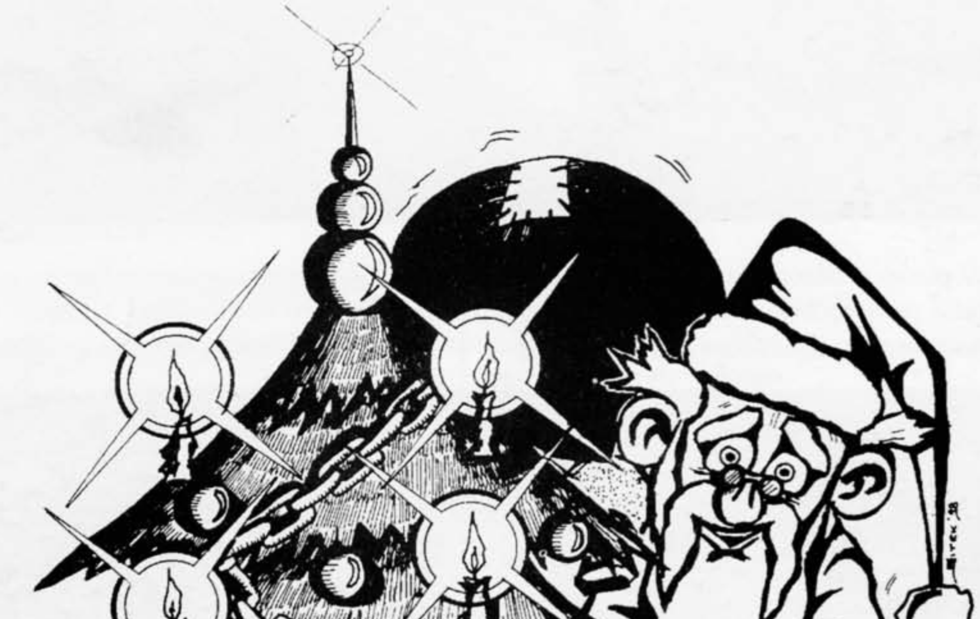
PISMO PG

PISMO PRACOWNIKÓW I STUDENTÓW POLITECHNIKI GDAŃSKIEJ

GRUDZIEŃ 1998 ISSN 1429-4494 Nr 9 (48)/98 ROK VI



Rys. T. Sitek



W piątek 6 listopada br. w Auli PG odbyło się uroczyste posiedzenie Senatu naszej uczelni poświęcone tradycyjnym, corocznym promocjom doktorskim. Dziesięć osób zostało promowanych na doktora habilitowanego, a trzydzieści cztery na doktora.



Fot. T. Chmielowiec

Podczas tej uroczystości dwaj profesorowie z Wydziału Inżynierii Środowiska, byli rektorzy PG, prof. Eugeniusz DEMBICKI i prof. Bolesław MAZURKIEWICZ zostali udekorowani wysokimi odznaczeniami.

Prezydent Republiki Francuskiej mianował prof. E. Dembickiego Kawalerem Francuskiej Legii Honorowej. Aktu dekoracji dokonał p. Daniel OLLIVIER, radca kulturalny i naukowy Ambasady Francji w Polsce.

Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej uhonorował prof. B. Mazurkiewicza Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski.

Profesorowie ci są uznanymi w świecie autorytetami naukowymi. Uczelnie zagraniczne nadały im tytuły i godność doktorów honoris causa. Ostatnio dwie uczelnie (Uniwersytet w Karlsruhe i Uniwersytet Państwowy w Sankt Petersburgu) nadały prof. B. Mazurkiewiczowi doktoraty honoris causa. Uroczystości nadania odbyły się 23 października br. (w Karslruhe) i 23 listopada br. (w St. Petersburgu).

POŚWIĘCENIE SZTANDARU NSZZ "Solidarność" POLITECHNIKI GDAŃSKIEJ, 11 listopada 1998 r.



Wspaniałym akcentem obchodów jubileuszu 80-lecia odzyskania przez Polskę niepodległości było uroczyste poświęcenie sztandaru politechnicznej SOLIDARNOŚCI. W niezwykle podniosłej i wzruszajacej atmosferze odbył się ten ceremoniał. Poświęcenia dokonał **ks. abp dr Tadeusz Gocłowski**, Metropolita Gdański, podczas mszy świętej odprawionej w intencji Ojczyzny 11 listopada br. w Bazylice Mariackiej.

Tego samego dnia, na zaproszenie Wojewody Gdańskiego, JM Rektor PG złożył kwiaty - w imieniu społeczności akademickiej naszej uczelni - pod tablicą poświęconą Józefowi Piłsudskiemu, w Gdańsku przy Al. Wojska Polskiego oraz pod pomnikiem Jana III Sobieskiego na Targu Węglowym. Po uroczystej mszy św. w Bazylice Mariackiej, na cmentarzu Łostowickim odbyło się odsłonięcie **Pomnika Ofiar Golgoty Wschodu**. Uroczystość tę zorganizował Zarząd Oddziału Gdańskiego Związku Sybiraków. Uczestniczył w niej również Rektor PG.

"Pismo PG" wydaje Politechnika Gdańska za zgodą Rektora i na zasadzie pracy społecznej Zespołu Redakcyjnego.

Autorzy publikacji nie otrzymują honorariów.

Adres redakcji:
Politechnika Gdańska
Dział Organizacyjno-Prawny
Zespół ds. Informacji i Promocji
ul. G. Narutowicza 11/12, 80-952 Gdańsk
tel. (48 58) 347 17 09, fax 341 58 21

Zespół Redakcyjny:
Waldemar Affelt (sekretarz),
Zbigniew Cywiński, Jerzy Kulas,
Jadwiga Lipińska, Adam Synowiecki,
Joanna Szłapczyńska, Anna Szmeja

Opracowanie techniczne i typograficzne:
Skład komputerowy w programie Ventura Publisher
Janina Poćwiardowska
Zespół ds. Informacji i Promocji, e-mail inprom@pg.gda.pl

Stała współpraca:
Zespół Technik Multimedialnych

Korekta:
Joanna Szłapczyńska

Druk:
Zakład Poligrafii Politechniki Gdańskiej

Numer zamknięto 21 listopada 1998 r.

Zespół Redakcyjny nie odpowiada za treść ogłoszeń i nie zwraca materiałów nie zamówionych. Zastrzegamy sobie prawo zmiany, skracania i adiustacji tekstów. Wyrażone opinie są sprawą autorów i nie odzwierciedlają stanowiska Zespołu Redakcyjnego lub Kierownictwa Uczelni.

Pojedyncze egzemplarze PISMA można otrzymać w księgarni w Gmachu Głównym

Spis treści

Protokół niedyplomatyczny

Felieton pana posła dr. Janusza Lewandowskiego - *Na biegunach* ("Gazeta Morska", nr 245, 19. 10. 1998) przyjąłem z satysfakcją. Jego pojawienie się jest dowodem, że moje wystąpienie na uroczystym posiedzeniu Senatu Politechniki Gdańskiej inaugurującym nowy rok akademicki spełniło swój cel i wywołało oddźwięk wśród obecnych. Prasa, radio, czy telewizja, poza nielicznymi wyjątkami, są mało zainteresowane problemami edukacyjnymi, dopóki nie wybuchnie skandal, nie zostanie popełnione morderstwo, gwałt, albo inne budzące sensacje wydarzenie. Zjawiska takie należą na szczęście do rzadkości, a więc nie mamy co liczyć na zwiększone zainteresowanie mediów edukacją i nauką. Korzystamy zatem z każdej nadarzającej się okazji, żeby przybliżyć decydentom, często oderwanym od rzeczywistości, realne problemy, poważne zagrożenia, oraz podzielić się zmartwieniami, które *de facto* dotyczą nie tylko środowiska akademickiego, ale całego społeczeństwa, w tym najwyższych władz, jako że *nauka jest kluczowym elementem rozwoju cywilizacji współczesnej, a system oświaty stanowi o tempie rozwoju kraju* (z apelu Komitetu Ratowania Nauki Polskiej). Pan Poseł słusznie zauważył, że wystąpienie inauguracyjne rektora PG było *mową polityczną*, trzeba jednak zaznaczyć, że dotyczyło wyłącznie polityki państwa wobec edukacji i nauki, a więc było w pełni uzasadnione czasem i miejscem. W sytuacji, kiedy szkołom wyższym i nauce zagraża niebezpieczeństwo, a samo środowisko nie jest w stanie zapobiec kryzysowi, rektor ma nie tylko prawo, ale i obowiązek zabrać publicznie głos. Kryzys, w jakim znalazło się polskie szkolnictwo wyższe, został spowodowany, jak to pan Poseł zauważył, *przez mechanizm rozdziału publicznych pieniędzy.* Pracownicy edukacji i nauki nie są w stanie sparaliżować transportu, dostaw energii czy artykułów pierwszej potrzeby, a więc nie dysponują skutecznymi środkami nacisku. Myślę zresztą, że gdyby chcieli, to znaleźliby mocne formy protestu, jednak ze względów wychowawczych nie powinni z nich korzystać. Stworzenie właściwych warunków dla rozwoju nauki i edukacji powinno być zatem jednym z priorytetowych zadań rządu, i taką deklarację składał prawie każdy premier zmieniających się gabinetów lat 90. W moim przekonaniu powinno być ono również priorytetowym zadaniem władzy ustawodawczej, a więc Sejmu i Senatu PR w całości, jak i każdego członka tych zacnych gremiów osobiście, niezależnie od siły nacisku *poszczególnych grup interesu.* Czy pan poseł J. Lewandowski może powiedzieć, że jest to również Jego priorytetowe zadanie?

Tragicznego obrazu sytuacji szkolnictwa wyższego i nauki w Polsce nie zmieni zjawisko szybkiego wzrostu liczby studentów w latach 90., ponieważ właśnie ten wzrost stał się główną przyczyną kryzysu.

Pan Poseł w moim wystąpieniu zauważył jakoby nostalgię za utraconym rajem sprzed 1989 r. Niezbyt to trafne spostrzeżenie, ponieważ ani ja, ani zdecydowana większość społeczności akademickiej nigdy tamtych czasów nie uważała za korzystne nie tylko dlatego, że dyktatura robotniczo-chłopska jest ze swej natury antyinteligencka, ale również dlatego, że ówczesne władze represjonowały za samodzielne i niezależne myślenie, a więc za to, co jest istotą uniwersytetów. Jeżeli w swoim wystąpieniu inauguracyjnym wspomniałem czasy PRL, to tylko po to, żeby zrobić porównanie, z którego wynika, że uczelniom jest teraz pod wieloma względami jeszcze trudniej. W poprzednim systemie polska nauka i edukacja wyższa miały się źle, chyba pod względem finansowym najgorzej spośród europejskich krajów realnego socjalizmu. Jednakże to właśnie preferencje w rozdziale środków publicznych przyjęte przez władze lat 90. doprowadziły do głębokiej zapaści finansowej uczelni państwowych, co przyznał osobiście premier Jerzy Buzek. Tragicznego obrazu sytuacji szkolnictwa wyższego i nauki w Polsce nie zmieni zjawisko szybkiego wzrostu liczby studentów w latach 90., ponieważ właśnie ten wzrost stał się główną przyczyną kryzysu. Uczelnie, nie czekając na deklarowane zwiększone środki, ze zrozumieniem odpowiedziały na apele kolejnych rządów o zwiększenie współczynnika skolaryzacji w Polsce i wyszły naprzeciw aspiracjom polskiej młodzieży zwiększając liczbę studentów. A w zamian - otrzymały mniej środków. Wzrost liczby studentów w uczelniach publicznych dokonał się wyłącznie kosztem zasobów własnych uczelni, prowadząc do dekapitalizacji ich majątku i zahamowania rozwoju kadry, a w końcu i obniżenia poziomu studiów. Pan poseł Lewandowski nie chce przyjąć do wiadomości niektórych faktów, między innymi tego, że **w latach 90. realne nakłady z budżetu państwa na szkolnictwo wyższe spadły dwukrotnie**, natomiast w przeliczeniu na jednego studenta studiów dziennych uczelni publicznych - aż trzykrotnie. Myślę, że pan Poseł jest niedoinformowany twierdząc, że *słabe zasilanie z kasy państwowej nie jest widoczne w kwotach realnych.*

Niskie finansowanie szkolnictwa to nie tylko żenująco niskie uposażenia pracowników publicznych szkół wyższych, ale przede wszystkim niewłaściwy poziom i złe warunki nauczania. Czy obecni decydenci w czasie starania się o przyjęcie do struktur europejskich myślą o naszym wkładzie do wspólnego unijnego gospodarstwa? Na pewno nie może być to węgiel, stal ani produkty rolne, jako że w Europie występuje nadprodukcja lub nadpodaż tych dóbr. Jedynie przygotowaniem zawodowym młodych Polaków na poziomie wyższym, gdyż tylko takie ma teraz istotne znaczenie, mamy szansę dorównania naszym zachodnim i północnym sąsiadom. Do niedawna studia w Polsce były zbliżone poziomem do oferowanych w uczelniach zachodnich. Niestety, dyskryminacyjne finansowanie edukacji i nauki w Polsce uniemożliwia konkurowanie z innymi krajami w tych dziedzinach. Opóźnienie w zwiększeniu nakładów na edukację i naukę prowadzi nieuchronnie do sytuacji, kiedy Polska stanie się zapleczem taniej, niewykwalifikowanej siły roboczej i zagłębiem wysokiego bezrobocia. Czy trzeba być prorokiem, żeby przewidzieć taką sytuację? Czy to przekracza wyobraźnię ludzi odpowiedzialnych za przyszłość Kraju?

Skutki niedofinansowania są już wyraźnie widoczne. Wytwarza się groźna luka pokoleniowa na uczelniach - za kilka lat zabraknie wysoko kwalifikowanych pracowników. Szybko spada pozycja nauki polskiej na arenie międzynarodowej. Jeszcze do niedawna niektóre dziedziny nauki uprawiane w Polsce zajmowały pozycje na początku drugiej

dziesiątki pośród wszystkich krajów świata. Obecne dotacje poniżej 0,5% i rzędu 0,8% odpowiednio na naukę i na szkolnictwo wyższe nie są w stanie zapewnić utrzymania dotychczasowego poziomu. Gwałtownie spada jakość kształcenia. A pan Poseł z zadowoleniem stwierdza, że w latach 90. rozpoczęto *odrabianie zaległości spowodowanych przez socjalizm*. To stwierdzenie nie dotyczy nauki i szkolnictwa, ponieważ nie tylko ilość, ale również i jakość powinna być brana pod uwagę przy formułowaniu wniosków. Konsekwencją obecnych tendencji będzie sytuacja, która doprowadzi nie tylko do wyeliminowania Polaków z grona dokonujących przemiany, ale zabraknie również specjalistów zdolnych do zrozumienia zachodzących zmian.

Po przeczytaniu felietonu pana posła Lewandowskiego nie miałem zamiaru komentować jego treści, ponieważ *mowa inauguracyjna* nie była moim jedynym wystąpieniem na omawiany temat wobec gremium, którego członkiem był także pan Poseł. Miałem więc okazję stwierdzić, że pan poseł Lewandowski jest odporny na fakty i argumenty, które nie są zgodne z Jego poglądami. Z zainteresowaniem oczekiwałem jednak prezentacji zapowiedzianych w następnym felietonie propozycji wyjścia z kryzysowej sytuacji. Kolejny felieton pana Posła, pt. *Polskie wyższe uczelnie*, który ukazał się 27 października (GM nr 252) bardzo mnie rozczarował. Wygląda na to, że pan Poseł, specjalista od prywatyzacji, postanowił zostać ekspertem od szkolnictwa wyższego, patrząc na nie okiem *Wielkiego Prywatyzatora*. Niestety, prywatyzacja nie jest lekarstwem dobrym na wszystko. Są dziedziny, za które odpowiedzialność musi ponosić państwo. Tak jak nie można sprywatyzować armii, sądownictwa czy więziennictwa, tak też nie można w pełni sprywatyzować szkolnictwa. Osobiście zawsze popierałem rozwój szkolnictwa prywatnego, o czym może zaświadczyć chociażby rektor, wspomnianej przez pana Posła, Wyższej Szkoły Administracji i Biznesu w Gdyni. Szkoły prywatne, na każdym poziomie kształcenia - od przedszkoli do uniwersytetów - działają w wielu krajach, i w Polsce są też bardzo potrzebne. Nigdzie jednak nie zastąpiły one szkolnictwa publicznego, a są jedynie jego uzupełnieniem. Nie widzę więc powodu, żeby w naszym Kraju przeciwstawiać sobie te dwa systemy, co właśnie pan Poseł usiłuje uczynić. Naszym wspólnym celem powinno być popieranie całej polskiej edukacji. Bez tego marna będzie przyszłość Narodu; i nie są to puste frazesy.

Mimo tak gwałtownego rozwoju prywatnego szkolnictwa wyższego w Polsce nie ma chętnych do zakładania prywatnych szkół kształcących masowo nauczycieli, fizyków, chemików, biologów, czy inżynierów, a więc studentów na kierunkach bardzo potrzebnych, jednak mało atrakcyjnych z uwagi na możliwości zarobkowe po studiach, albo dodatkowo bardzo kosztochłonnych. Nikt też nie zakłada szkół prywatnych dla tych, których nie stać na opłacanie czesnego. Za kształcenie na tych kierunkach i takiej młodzieży odpowiedzialne jest państwo. Nikt i nic nie zdejmie z państwa obowiązku opieki nad edukacją, w tym również ponoszenia stosownych nakładów finansowych. Do mitów należy zaliczyć obiegowe opinie o niskich kosztach kształcenia w szkołach prywatnych. W czesnych, które często przewyższają koszty kształcenia w szkołach publicznych, nie są uwzględnione koszty przygotowania kadry dydaktycznej. Dydaktyka w prywatnych wyższych szkołach opiera się na kadrze prawie w całości przygotowanej w szkołach publicznych, za pieniądze z budżetu. Może jest to sytuacja uzasadniona, ale nie można dla celów propagandowych tego faktu przemilczać. Niektóre prywatne szkoły wyższe starają się minimalizować wydatki na różne sposoby. Na spotkaniu rektorów 4 listopada br. z prezydentem RP Aleksandrem Kwaśniewskim jeden z profesorów państwowej instytucji, równocześnie profesor w prywatnej wyższej szkole, wystąpił z żądaniem umożliwienia studentom szkół prywatnych bezpłatnego korzystania z bibliotek szkół publicznych. Gdyby to nastąpiło, to koszty utrzymania bibliotek, w tym zakup książek, podręczników, czasopism naukowych, czy wynagrodzeń obsługi ponosiłyby wyłącznie uczelnie publiczne. Dochodzą również głosy domagające się udziału szkół prywatnych w dotacjach z budżetu. Są to żądania nieuzasadnione, ponieważ głównym czynnikiem różniącym szkoły publiczne od prywatnych jest ich źródło finansowania. Do finansowanych przez państwo szkół publicznych mają prawo i powinni mieć dostęp, w ramach limitów wyznaczonych przez wysokość dotacji, wszyscy chętni spełniający określone kryteria merytoryczne. Osoby nie spełniające tych kryteriów, a także pozostali, którym uczelnie publiczne nie odpowiadają z jakiegokolwiek powodu, mają do wyboru szeroką ofertę płatnych szkół prywatnych. Dofinansowanie przez państwo szkół prywatnych zmniejszyłoby i tak skromne dotacje na uczelnie publiczne. W konsekwencji w uczelniach publicznych nastąpiłoby dalsze pogorszenie warunków studiów, natomiast szkołom prywatnym, które nie mają żadnych, poza wynikającymi z praw wolnego rynku, ograniczeń w wysokości pobieranego czesnego, zwiększyłoby po prostu dochody.

Również, jak na razie, nawet przy najlepszych chęciach nie można porównywać jakości wyższych szkół prywatnych z akademickimi szkołami publicznymi. Tym najlepszym prywatnym daleko jeszcze do osiągnięcia poziomu średniej jakości szkoły publicznej.

Również, jak na razie, nawet przy najlepszych chęciach nie można porównywać jakości wyższych szkół prywatnych z akademickimi szkołami publicznymi. Tym najlepszym prywatnym daleko jeszcze do osiągnięcia poziomu średniej jakości szkoły publicznej i nie pomogą w tym promocje, jakie niektórzy prominenci robią na ich korzyść.

Potwierdzeniem tej opinii może być fakt przyznania dopiero w 1998 roku uprawnienia do nadawania stopnia naukowego doktora pierwszej wyższej szkole prywatnej, i to tylko w zakresie - organizacji i zarządzania. Natomiast w przyjętym kryterium *akademickości* szkoły wyższej warunkiem koniecznym jest posiadanie przez szkołę uprawnień do nadawania nie tylko stopnia naukowego doktora, i to co najmniej w dwóch dyscyplinach, ale również uprawnienia do nadawania stopnia doktora habilitowanego. Takich szkół w Polsce jest ponad sześćdziesiąt; wśród nich - ani jednej szkoły prywatnej. To wskazuje na istniejący dystans między tymi dwoma typami szkół, i to tylko w jednym aspekcie.

Podobnie próby przeprowadzenia rankingu przez tygodnik *"Wprost"* są w tym przedmiocie, delikatnie mówiąc, nierzetelne. Bardzo niekorzystnie na rozwój szkolnictwa wpływa jego rozdrobnienie. Sto kilkadziesiąt prywatnych

szkół wyższych w kraju wielkości Polski - to stanowczo za dużo, tym bardziej, że są one bardzo monotematyczne. Poza nielicznymi wyjątkami dotyczącymi najbardziej elitarnych instytucji, szkoła wyższa, żeby się liczyła, musi osiągnąć określoną masę krytyczną, zarówno pod względem liczby studentów, jak i liczby oraz jakości **własnej kadry** dydaktycznej. Bez spełnienia tych warunków instytucja dydaktyczna pozostaje tylko szkółką, często zresztą bardzo potrzebną.

Pożądaną cechą oceniającego jest obiektywizm. Tej cechy wyraźnie brakuje panu posłowi Lewandowskiemu. Gloryfikując prywatne szkoły wyższe, widzi szkoły publiczne wyłącznie jako *ścianę płaczu*. Za wzór stawia menedżerów szkół prywatnych, a nawet popiera chęć przejęcia przez niektórych z nich kierownictwa uczelni publicznych. W 1999 roku będą odbywały się wybory władz rektorskich i nic nie stoi na przeszkodzie, żeby stanęli do tych konkursów.

Muszę przyznać, że felietony pana Posła Lewandowskiego są bardzo pouczające. Przed ich przeczytaniem wierzyłem naiwnie, że rozdział środków publicznych dokonuje się z pełną odpowiedzialnością, z uwzględnieniem potrzeb zgodnych z hierarchią racji stanu. Okazuje się jednak, że są ludzie i ugrupowania świadomie dążące do upadłości wybranych gałęzi gospodarki, a nawet pojedynczych zakładów, w celu ułatwienia ich prywatyzacji. O ile doprowadzenie do upadłości PGR-ów i niektórych fabryk ułatwiło ich nabycie za bezcen przez prywatnych inwestorów, to zachęcanie do prywatyzacji tą drogą szkolnictwa jest godne potępienia, jest po prostu nawoływaniem do zbrodni. Rekultywację gospodarstwa rolnego można przeprowadzić w ciągu 1-2 lat, dysponując oczywiście potrzebnymi środkami. Mieliśmy okazję przekonać się ostatnio, że nawet dużą fabrykę samochodów można wybudować i uruchomić w ciągu 2 lat. Natomiast odbudowa zniszczonego szkolnictwa wymaga nie tylko niewyobrażalnych środków, ale i dziesiątków lat, potrzebnych na przygotowanie odpowiedniej kadry. Szybki ilościowy rozwój szkolnictwa prywatnego w Polsce nie przeczy temu, ponieważ dokonywał się na bazie istniejącej, dobrze przygotowanej, wysoko wykwalifikowanej kadry. Ta kadra ostatnio gwałtownie się kurczy. W czasach PRL mieliśmy okazję poznać sposoby szybkiego tworzenia paraspecjalistów. Tak było z mianowaniem po wojnie sędziów komisarycznych bez wykształcenia prawniczego, czy powoływaniem "docentów marcowych". Z tamtych czasów pochodzi powiedzenie: *nie matura, lecz chęć szczera zrobi z ciebie oficera*. Nie sądzę, żeby taki tryb tworzenia kadry w jakiejkolwiek dziedzinie był korzystny dla kraju. Środowisko akademickie szybko konsoliduje się pod względem politycznym. Na pewno nie będzie popierać ugrupowań i partii działających na jego szkodę i szkodę Narodu. Wyniki ostatnich wyborów do władz lokalnych potwierdzają tę tezę.

Szkoły prywatne, na każdym poziomie kształcenia - od przedszkoli do uniwersytetów - działają w wielu krajach, i w Polsce są też bardzo potrzebne. Nigdzie jednak nie zastąpiły one szkolnictwa publicznego, a są jedynie jego uzupełnieniem.

Ze smutkiem stwierdzam, że w felietonach pana posła J. Lewandowskiego pojawiają się nieaktualne dane. W Trójmieście kształci się obecnie nie 44 tys. studentów, ale już ponad 56 tys., z czego na Uniwersytecie Gdańskim ponad 24 tys., a w PG - ponad 16 tys. Dane cytowane przez pana Posła pochodzą sprzed ponad dwóch lat. Wydaje mi się, że rzetelność i wiarygodność tekstu, a także szacunek dla Czytelnika, wymagają podawania aktualnych danych. Przypuszczam, że pan Poseł nie zauważył także danych z tegorocznej ogólnopolskiej rekrutacji, z których wynika, że po raz pierwszy od rozpoczęcia w 1990 r. szturmu po indeksy zmalała w tym roku liczba studentów rozpoczynających płatne studia, i to zarówno na prywatnych, jak i publicznych uczelniach. Czy nie jest to fakt świadczący, że w dążeniu do współfinansowania kształcenia przez studentów zostały wyczerpane wszystkie rezerwy? Pozostała jeszcze możliwość współfinansowania badań naukowych przez samych naukowców.

Na zakończenie chciałbym nawiązać do *drobnej protokolarnej niespodzianki*, jaka spotkała pana posła J. Lewandowskiego w czasie inauguracji w PG, a która zrobiła na nim tak duże wrażenie, że poświęcił jej prawie 1/3 swojej wypowiedzi w pierwszym z cytowanych felietonów. Drobnostka ta dotyczyła kolejności powitania dostojnych gości, którzy swoją obecnością zaszczycili inaugurację roku akademickiego w Politechnice Gdańskiej, z czego byliśmy bardzo dumni. Witałem wszystkich bardzo serdecznie. Rektor ma jednak przywilej witania gości w ustalonej przez siebie kolejności. Wyróżnia więc gości, biorąc pod uwagę nie tylko ustaloną protokołem hierarchię zajmowanych stanowisk, ale i szczególne zasługi poniesione dla uczelni. Kolejność witania gości wg protokołu dyplomatycznego jest ściśle ustalona i każdy (raczej: prawie każdy) jest w stanie ją przewidzieć. Natomiast w uczelniach protokół powitalny jest mocno zindywidualizowany i trudny do przewidzenia, stąd też często wywołuje takie zainteresowanie. Jako gość brałem udział w wielu akademickich uroczystościach i rzadko kolejność witania gości była zgodna z protokołem dyplomatycznym, chociaż zawsze przemyślana. Emocje wywołane przez kolejność witania gości są zrozumiałe, byleby jednak były wyciągane z niej prawidłowe wnioski.

Panie Pośle, pomimo rozbieżności w poglądach na sprawy nauki, szkolnictwa wyższego i protokołu dyplomatycznego serdeczne zapraszam na kolejne uroczystości w Politechnice Gdańskiej. Będzie Pan zawsze naszym miłym gościem, przyjmowanym ze wszystkimi należnymi honorami. Udostępnimy również Panu łamy naszego "Pisma", jeżeli zechce Pan z nich skorzystać.

Czytelnik tego artykułu ma prawo zapytać, dlaczego nie ukazał się on w "Gazecie Morskiej", jeżeli jest odpowiedzią na felietony zawarte na łamach tej gazety. Muszę przyznać, że takiej próby nawet nie podjąłem, ponieważ wszystkie dotychczasowe prośby mojego poprzednika i moje o opublikowanie przez "Gazetę Wyborczą", czy jej dodatek - "Gazetę Morską", stanowisk i uchwał Senatu PG, a także listu otwartego do premiera W. Cimoszewicza z ubiegłego roku nie tylko nie zostały uwzględnione, ale odmowy nie skwitowano nawet krótkim uzasadnieniem. "Pismo PG" jest szeroko czytane i cytowane w środowisku akademickim Kraju, a więc mam nadzieję, że i tym razem artykuł ten zostanie zauważony.

Prof. Aleksander Kołodziejczyk
Rektor Politechniki Gdańskiej

Na biegunach

Nowy rok akademicki rozpoczął się w Polsce pod znakiem narzekania na brak pieniędzy. Ale nie wszędzie. Uczestnicząc w inauguracjach przeżyłem cały wachlarz nastrojów. Biegunem zwątpienia była Politechnika Gdańska; biegun nadziei to Wyższa Szkoła Biznesu w Nowym Sączu i niepaństwowe uczelnie Trójmiasta. Politechnika Gdańska jest dla mnie ucieleśnieniem uczelni z prawdziwego zdarzenia. W tych murach czuje się dostojeństwo i siłę tradycji, a ścisły charakter wiedzy utrudniał karierę hochsztaplerom, których tak wielu wydały nauki społeczne doby socjalizmu. Ale tu właśnie czekało nas kilka niespodzianek. Pierwsza była drobna, protokolarna. Rektor witał na początku duchownych, co w Polsce jest zrozumiałe i uświęcone tradycją. Potem witał licznych działaczy związkowych, co jest nową tradycją, potem całą resztę. Jakby chciał potwierdzić kościelno-związkowy charakter państwa, jakim Polska przecież nie jest. Skoro nie jest, to np. wicemarszałek Senatu winien być zauważony w pierwszej kolejności, a w każdym razie przed związkowcami czy wicewojewodą elbląskim. Drobiazg, powtarzam. ale odrobina savoir-vivre przy tak dostojnych uroczystościach nie zaszkodzi. Następnie rektor wygłosił mowę polityczną, oskarżycielską wobec polityki państwa lat 90. i przepełnioną nostalgią za utraconym rajem sprzed 1989 roku, kiedy państwo hojnie łożyło na naukę, wspomagane przez wielkie zakłady pracy. Ja, mimo wszystko, wybieram lata 90. Widzę w nich, także w szkolnictwie wyższym, gigantyczny, zbiorowy wysiłek odrabiania zapóźnień spowodowanych przez socjalizm. Miarą tego wysiłku jest dwukrotny wzrost liczby studiujących oraz współczynnik skolaryzacji dochodzący do 30 procent (wobec 18 procent w roku 1990), czyli tyle, ile w cywilizowanym świecie. Tylko co trzeci z ponad 330 tysięcy studentów pierwszego roku korzysta z nieodpłatnej edukacji. Pozostali studiują albo w szkołach prywatnych, albo w formule odpłatnych studiów zaocznych i wieczorowych, zasilając budżety uczelni państwowych. Słabe zasilanie z kasy państwowej - widoczne nie tyle w kwotach realnych, ile w procencie rosnącego produktu krajowego - rzutuje nade wszystko na stan badań naukowych, bazę materialną szkolnictwa państwowego oraz status materialny kadry. Tyleż niepokojący, ile przejrzysty jest dla mnie mechanizm poszkodowania nauki w rozdziale publicznych pieniędzy - niezależnie od obietnic i nasycenia profesurą kolejnych ekip rządowych. Ma to oczywisty związek z siłą poszczególnych grup interesu i ich reprezentacji związkowej. Uzasadniony alarm, podnoszony przez polskich uczonych, tego mechanizmu winien dotyczyć, a nie dobrej woli ministra finansów.

Obraz państwowego szkolnictwa wyższego w Trójmieście nie jest pokrzepiający, pomimo że większość rektorów nie poprzestaje na narzekaniu (wystarczyło dla kontrastu posłuchać np. rektor AWF). Obniża się nasza pozycja na tle kraju. Ma to swoje zewnętrzne, ale i wewnętrzne przyczyny. O tych wewnętrznych mówi się niechętnie i to jest kolejne źródło mego niepokoju. Skąd czerpać otuchę i co ma do tego reforma samorządowa - napiszę za tydzień.

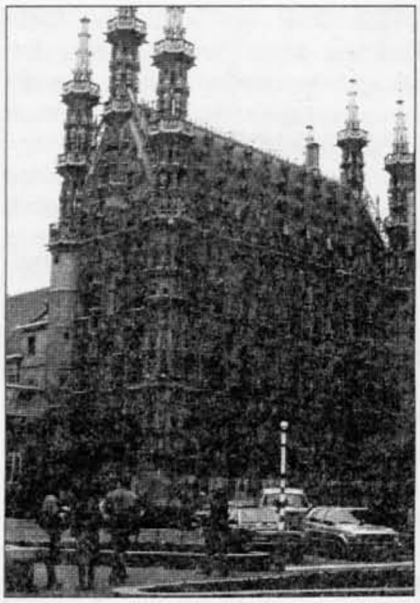
Janusz Lewandowski
(Przedruk za zgodą autora)
("Gazeta Wyborcza", 19 października 1998 r.)

Polskie wyższe uczelnie

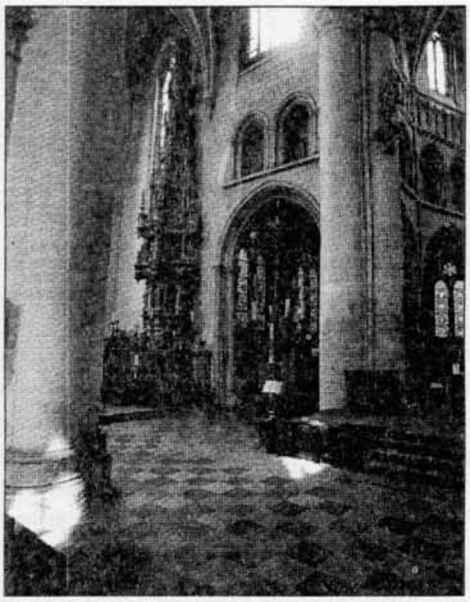
Głód wiedzy i gotowość płacenia za studia zmieniły obraz szkolnictwa wyższego. W Trójmieście i w całej Polsce powstał sektor prywatny. Podczas inauguracji nowego roku akademickiego 1998/99 rzucał się w oczy kontrast pomiędzy uczelniami państwowymi i niepublicznymi. Tam budżetowa "ściana płaczu", a w nowych szkołach, które nie czekają na budżetowe pieniądze, optymizm i ambitne zapowiedzi.

Nowe inicjatywy, prawie bez wyjątku, są dziełem moich dawnych kolegów z Uniwersytetu Gdańskiego. Niektóre z nich, z założenia mają charakter elitarny, jak Wyższa Szkoła Międzynarodowych Stosunków Gospodarczych i Politycznych w Gdyni czy podyplomowe studia MBA a Gdańskiej Fundacji Menedżerów. Inne mają zadatki na masowość, jak Wyższa Szkoła Administracji i Biznesu w Gdyni, Wyższa Szkoła Turystyki i Hotelarstwa w Sopocie oraz najnowsza Wyższa Szkoła Bankowa w Gdańsku. W Polsce co piąty student dzienny uczy się na płatnych uczelniach niepublicznych. W regionie gdańskim prywatyzacja szkolnictwa przebiega wolniej, podobnie zresztą jak prywatyzacja gospodarki. Nowe szkoły skupiają zaledwie kilka procent spośród ponad 44 000 studentów Trójmiasta. Najstarsza (obok Akademii Bankowej prowadzonej przy Instytucie Badań nad Gospodarką Rynkową) i największa z nowych uczelni, gdyńska Wyższa Szkoła Administracji i Biznesu, doszła w piątym roku działalności do 800 studentów. Daleka droga do 20 000 studentów Uniwersytetu Gdańskiego! W głębi Polski są już prywatne uczelnie, które dorównują nie tylko jakością, ale i ilością szkołom państwowym. Byłem na gościnnych występach w kilku takich miejscach, klasyfikowanych na szczycie listy rankingowej szkół wyższych, publikowanej corocznie przez "Wprost". Inicjator Wyższej Szkoły Bankowej w Poznaniu profesor Balicki przyznaje się do 12 000 studentów, czyli tylu, ilu Politechnika Gdańska. Imponują mi dwie szkoły biznesowe najwyższej klasy, obie z widokiem na góry, położone z dala od wielkich aglomeracji. Pierwsza to Wyższa Szkoła Biznesu i Informatyki w Bielsku-Białej. Druga to oczywiście Wyższa Szkoła Biznesu w Nowym Sączu. Rektor Pawłowski miał kiedyś równie śmiały pomysł, jak jego sąsiad z Nowego Sącza, Roman Kluska, założyciel firmy Optimus. Stworzył w roku 1992 najlepszą szkołę w Polsce, oferującą dzisiaj pełny wachlarz możliwości: dzienne i zaoczna studia licencjackie, magisterskie, podyplomowe i MBA dla 3 000 studentów. Są wśród nich młodzi ludzie z Trójmiasta, którzy wiedzą, że dyplom z Nowego Sącza jest najlepszą przepustką do kariery. Rektor Pawłowski twierdzi, że gotów byłby poprowadzić dowolną uczelnię publiczną bez wynagrodzenia. Chciałby tylko kilka procent od zaoszczędzonych pieniędzy...

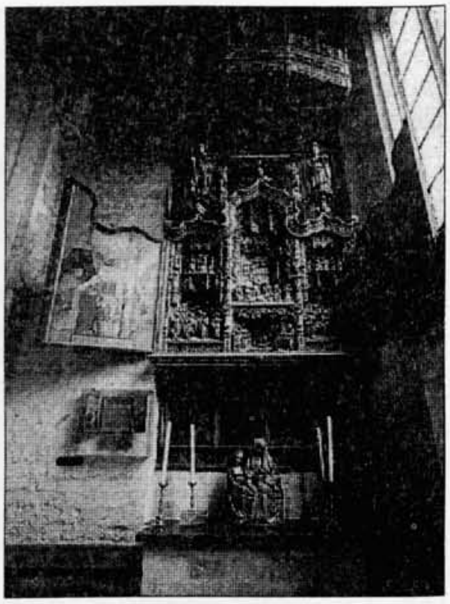
Janusz Lewandowski
(Przedruk za zgodą autora)
("Gazeta Wyborcza", 27 października 1998 r.)



Ratusz w Leuven



Tabernakulum w kościele św. Leonarda



Szafkowy ołtarz św. Anny w kościele św. Leonarda

SYMFONIA BRABANCKA

Kiedy używamy słowa "symfonia", mamy zwykle na uwadze pewien utwór orkiestrowy. Bywa jednak inaczej. Myślimy mianowicie o jakiejś harmonii, o współwystępowaniu określonych elementów, składających się np. na kulturę w danym miejscu lub czasie. Otóż z taką właśnie symfonią, ukształtowaną w średniowieczu i do dzisiaj słyszalną spotkałem się w Brabancji; w krainie ongiś jednorodnej, lecz podzielonej teraz na dwie części: północną - holenderską i południową - belgijską.

Gdańsk handlował w dawnych wiekach z Brabancją; zaopatrywał się w niej w sukno niderlandzkie oraz w kunsztowne koronki, które były nader popularne wśród pań i panów XVII i XVIII wieku. Szkoda, że mniejszą popularnością cieszyła się brabancka duchowość. O Sigerze z Brabantu wiedziano raczej niewiele, i tak zostało do dzisiaj. A przecież w XIII wieku był on wybitnym, choć kontrowersyjnym, wykładowcą na Uniwersytecie Paryskim. I mimo że jego nauczanie spotkało się z potępieniem ówczesnego biskupa Paryża, mimo że polemizował z nim ostro św. Tomasz z Akwinu, właśnie z Tomaszem umieścił go Dante - autor *Boskiej Komedii* - w czwartym niebie, pośród duchów uczonych.



Vincent van Gogh - Aleja topolowa w Nuenen

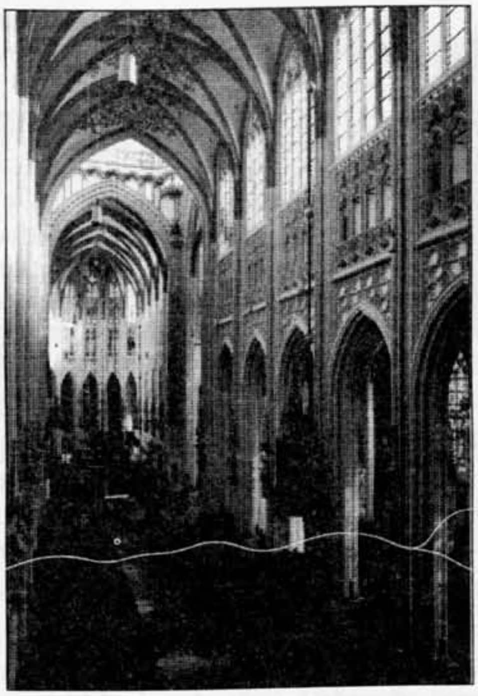
Mało znani pozostali do dziś w Gdańsku również mistycy brabanccy, np. św. Ludgada z Brabantu, trzynastowieczna mistyczka z klasztoru cystersek w Aywiers, nieopodal Brukseli. Obok znamion świętości miała ona podobno ujmującą powierzchowność, a jej wyobrażenie spotkać można także w Polsce, we wsi Krzeszów (Sudety) na frontonie kościoła z XVII w. Może się mylę, lecz sądzę, że gdańszczanie interesowali się - poza nielicznymi wyjątkami - raczej praktyczną stroną powiązań z Brabancją.

Wyznam, że odwiedzając tę krainę, szukałem w niej nie tyle osiągnięć materialnych, ile raczej śladów filozofii i mistyki średniowiecznej. Spotykałem jednak zwykle coś innego, przynajmniej od strony formalnej.

W Belgii były to budowle starego Leuven (Lowanium) z gotycko-koronkowym ratuszem i słynnym uniwersytetem, założonym w XV w. Natomiast niedaleko od tegoż miasta, między Tienen i Saint-Truiden, w Zoutleeuw, dane mi było oglądać wielką świątynię gotycką, budowaną od XIII do XV wieku: Kościół św. Leonarda. Jego osobliwością jest przede wszystkim tabernakulum w kształcie wysokiej wieży, wznoszącej się od posadzki aż po sklepienie świątyni. Są tu także stare rzeźby i ołtarze szafkowe, pełne piękna i bogactwa przedstawień średniowiecznych.

Najbliższych moim oczekiwaniom wrażeń dostarczyła mi jednakże Brabancja Holenderska - Noordbrabant. Dotarłem tam nie tylko do bliskiej Polakom Bredy, którą w 1944 r. wyzwoliła dywizja generała Maczka. I nie tylko do malowniczego Nuenen, w którym przebywał ongiś Vincent van Gogh, malując m.in. obraz alei topolowej z kościółkiem na drugim planie. W Brabancji północnej zafascynowało mnie przede wszystkim miasto 's - Hertogenbosch. Głównie dlatego, że w nim urodził się, żył i umarł wielki malarz późnego średniowiecza, "filozof pędzla" i w jakiejś mierze mistyk - Jeroen Anthoniszoon van Aeken, zwany Hieronimem Boschem.

Niestety, wszystkie jego dzieła, których jest w świecie dużo, znajdują się obecnie poza 's - Hertogenbosch. Jedno z nich - gdy



Wnętrze katedry św. Jana w 's - Hertogenbosch

mowa o bardziej znanych i rozmiarami niewielkich - przedstawia, jak się zdaje, domokrążcę i jest "perłą" Museum Boymans - van Beuningen w Rotterdamie. W mieście Boscha są tylko reprodukcje, zgromadzone w wyłączonym dziś z kultu kościele św. Józefa, położonym niedaleko Katedry św. Jana.

Katedra jest świątynią diecezjalną o długiej i bogatej historii. Jako członek Bractwa Najświętszej Panny Marii przebywał w niej Bosch często, przyczyniając się swoimi rysunkami do wyposażenia jej w ołtarze i okna witrażowe.

Katedrę widać z daleka, a jej gotyckie wnętrze robi duże wrażenie. Trudniej trafić na posąg Boscha, wzniesiony w 1930 r. na rynku 's - Hertogenbosch. Znalazłem go jednak ponad kupieckimi kramami i uwieczniłem na zdjęciu. Miałem wątpliwości czy wyjdzie. Wyszło.



Pomnik Hieronima Boscha na rynku w 's - Hertogenbosch

Malarz patrzy na nim przed siebie, głową sięga ku niebu, a paleta i pędzel w jego rękach są chwilowo nieczynne. Wydaje się, że Artysta zbiera myśli do takich obrazów, które będą filozofią ludzkiego losu, wyrażoną nie słowami, lecz pędzlem.

Wiele dzieł Boscha ma taki charakter. W Museum Boymans - van Beuningen znajduje się m. in. wspomniany już *Domokrążca* - obraz namalowany po 1505 roku, uważany przez niektórych za przedstawienie przypowieści o Synu Marnotrawnym (Łk 15, 11 - 32). Oto obok gospodarstwa przechodzi wędrowiec; na progu domu ściskają się kochankowie; staruszka wygląda przez okno, a ukryty za węgłem przygarbiony mężczyzna zajęty jest oddawaniem moczu. Wędrowiec nie patrzy przed siebie, musi się bowiem opędzać od napastliwego kundla.

Obraz ten jest sam w sobie wymowny, można go jednak uważać za częściową replikę innego dzieła, które namalował Bosch na zamkniętym tryptyku *Wóz z sianem*. Przedstawia ono ziemskiego pielgrzyma, któremu dane jest doświadczać ludzkiego losu: lęku i zmęczenia, gwałtów i chwil spokoju.

Tryptyk powstał zapewnie na przełomie XV i XVI wieku, w okresie dojrzałości Artysty, nacechowanym problematyką symboliczną i demonologiczną, niezwykle popularną u schyłku średniowiecza. Oryginał tryptyku znajduje się w Museum del



Wznoszenie się ku światłu dusz błogosławionych (fragment)

Prado w Madrycie, 's - Hertogenbosch posiada jego reprodukcję, którą oglądałem w kościele św. Józefa.

Wóz przedstawiony na tryptyku nie jest zwykłym wozem, takim, jaki malowało wielu malarzy, np. ulegający skądinąd wpływom Boscha, Pieter Bruegel Starszy. Nie służy on mianowicie pracy w polu i nie pachnie skoszonym sianem. Toczy się natomiast od Raju Utraconego, który namalował Artysta na lewym skrzydle otwartego tryptyku, do przedstawionego na prawym skrzydle piekła. Jest to piekło ludzkiego losu: w dali ogień trawi jakieś budowle, bliżej diabły wznoszą wieżę dla potępionych, którzy wprowadzani są do jej wnętrza.

Najciekawsza jest jednak środkowa część tryptyku. Oto na szczycie sterty siana siedzą muzykanci i tulą się do siebie zakochani. Towarzyszy im z lewej (naszej) strony rozmodlony anioł, a z prawej diabeł, który wabi ich melodiami świata cielesnego. Nad wozem Chrystus otwiera ramiona, z tyłu idą dostojnicy z papieżem i cesarzem na czele. Natomiast wokół

wozu kłębią się ludzie, zachłanni, usiłujący uszczknąć nieco siana dla siebie; zdolni nawet do zabójstwa dla zaspokojenia swych pragnień. Bo siano symbolizuje tu dobra materialne - przedmiot ludzkich pożądań i przyczynę walk bratobójczych. Myślę, że przede wszystkim dlatego na miejscu koni namalował Artysta postacie demoniczne, które ciągną wóz do piekła.

Boscha *Wóz z sianem* jest zagadkowy i dopuszcza różne interpretacje, zarówno szczegółowe, jak i uogólniające. Można w nim widzieć np. odbicie końca średniowiecza, które zdawało się zapominać o swych osiągnięciach duchowych, pogrążało się natomiast w wojnach i gwałtach, a złość ludzka chciała zapanować nad dobrem i pięknem. Tak przynajmniej patrzy na ów okres mój ulubiony autor, holenderski historyk i humanista, Johan Huizinga.



Hieronim Bosch - Domokrążca

Można jednak odczytywać *Wóz z sianem* inaczej, umiejscawiając go ponad czasem, w koleinach ludzkiego losu. Jest on wtedy także metaforą naszej epoki, która przestała cenić wartości duchowe i upodobała sobie materializm praktyczny, zespolony z konsumpcjonizmem. Drabiny, widły i bosaki z obrazu Boscha ustąpiły wprawdzie miejsca naukowej technice, lecz apokaliptyczna wizja upadku nie stała się przez to mniejsza.

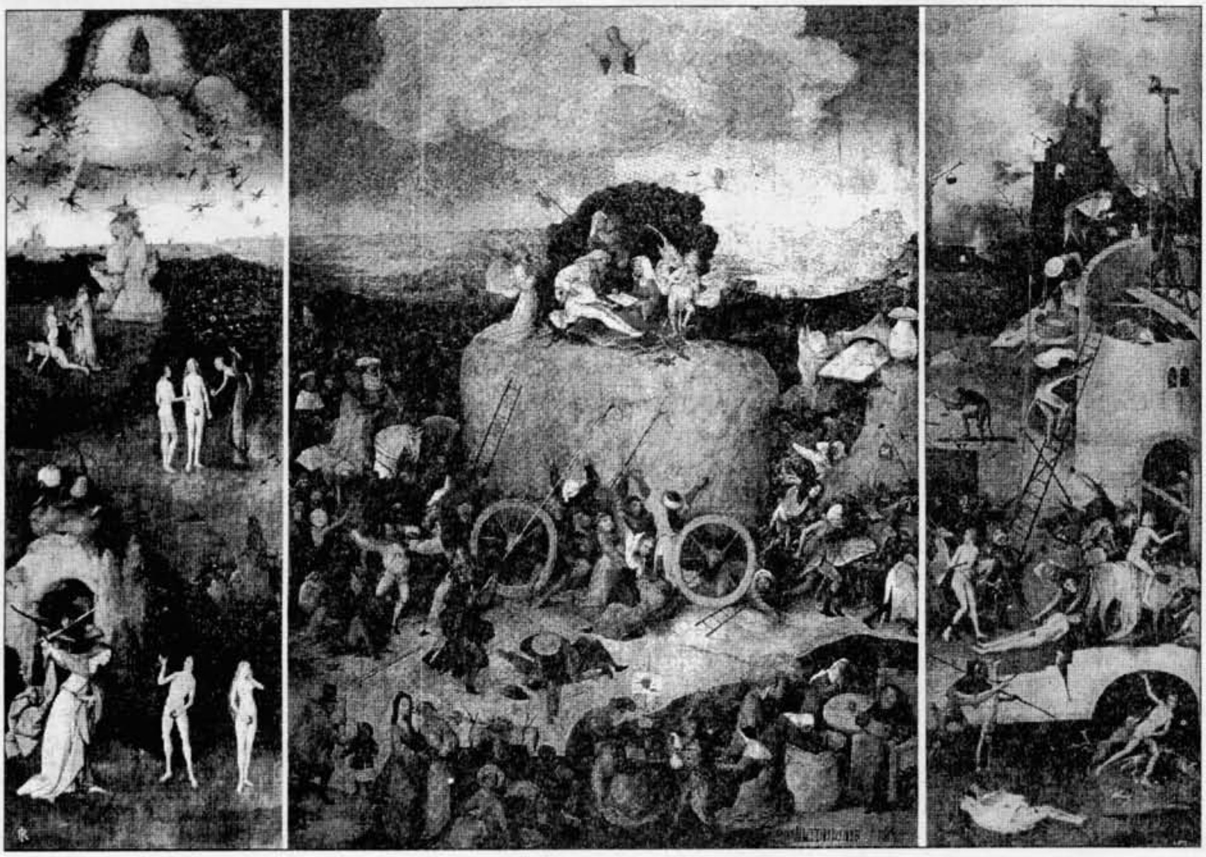
Zyskała nawet na wyrazistości, albowiem - jak napisał niedawno pewien mędrzec - wygasł w świecie blask boskości, a podtrzymywana przezeń "symfonia" kultury zakłócona została przez kakofonię. Wojny stały się totalne, a dym pożarów zamieniać począł Ziemię w piekło. Szacunek dla człowieczeństwa zachował się w cieniu świątyń; w pobliżu Tego, który w nich mieszka. I w sztuce, ale w tej "głębokiej", która pragnie ukazywać dobro, piękno i prawdę.

Inne obrazy Boscha są także zagadkowe, lecz nie wszystkie tchną pesymizmem. Oto kopia malowidła, którego oryginał znajduje się w Pałacu Dożów, w Wenecji. Przedstawia ono wznoszenie się do nieba dusz błogosławionych, a jego zagadkowość polega głównie na tym, że wędrują one przez ciemny tunel ku światłu u jego wylotu. Wszak w ponad pięćset lat później podobne wyobrażenie przekaże nam lekarz i filozof, Raymond A. Moody, relacjonując opowieści pacjentów, którzy przeszli przez śmierć kliniczną.

Czy Bosch wiedział coś w tej sprawie od ludzi, którzy zetknęli się ze śmiercią? Z uwagi na ówczesną wiedzę o śmierci jest to mało prawdopodobne. A może poszczególne części tunelu są malarskim przedstawieniem sfer niebieskich, o których wciąż dyskutowano przed Kopernikiem? Może wreszcie tunel jest tu symbolem ludzkiej egzystencji, rzuconej w ciemność, lecz usiłującej wznieść się ku światłu?

Pozostawmy te pytania bez odpowiedzi, pragnę bowiem spuentować mój esej inaczej. Otóż polskie zauroczenie Zachodem nie musi sprowadzać się do podziwu nad jego produkcją i poziomem konsumpcji, organizacją życia społecznego i swobodami obywatelskimi. Na drogach Brabancji uświadamiamy sobie prostą prawdę, że ich najgłębsze źródła są duchowe: idee myślicieli, inżynierów i poetów, szepty modlitw mistyków, twórcze czyny malarzy i rzeźbiarzy... Tam też zaczynamy myśleć z goryczą o tym, jak wielu ludzi sądzi dziś zgoła inaczej; jak często za podstawę całej kultury uważają oni produkcję materialną, ignorują zaś lub co najmniej lekceważą życie duchowe.

Adam Synowiecki
Wydział Zarządzania i Ekonomii



Otwarty tryptyk Boscha - Wóz z sianem

Nadchodzą Święta...

Kończy się listopad - miesiąc smutny, na ogół szary i deszczowy. Dni stają się coraz krótsze. Ludzie niecierpliwią się, sami nie wiedząc dlaczego. A oto zbliża się ostatni miesiąc roku - grudzień - o jakże innym nastroju niż listopad. Cechuje go jakaś uroczysta odświętność. Nadchodzą Gody, nadchodzi czas oczekiwania, czas Adwentu. Adwent - to wyraz pochodzenia łacińskiego - oznacza przyjście i jakby wejście Pana w granice swoich włości, a dla nas znaczy to samo co - Narodzenie Chrystusa.

Początkowo Adwent trwał trzy tygodnie, później w wiekach VII - IX - trzy miesiące, a od wieku XII obowiązywać zaczął Adwent czterotygodniowy, i tak jest do dzisiaj. Kiedyś był to okres wyłącznie radosnego oczekiwania Zbawiciela, a potem stał się czasem pokuty i postu, połączonego z tęsknotą i nadzieją pełną radości na przyjście na Ziemię Chrystusa. Adwentus - to właśnie grudzień.

W Polsce, jeszcze niedawno, na Podhalu nazywano go Jadwent, Jadwientowy, zaś na Kaszubach mówiono nań Gódnik. W języku staropolskim grudzień zwano Proschyen, a niektóre ludy słowiańskie jeszcze do dziś mówią na grudzień Prosinec, Prosinac czy Prosińs. Z tego wniosek, że staropolska nazwa grudnia pochodzi od dawnego słowa sijać, tzn. jaśnieć. W języku kaszubskim podobne znaczenie miał długo zachowywany wyraz - sijac, co znaczyło promieniować ciepłem, ziać ciepłem i jasnością. A więc jaśnieć.

W tym ostatnim miesiącu roku jaśnieją dni i promienieją wewnętrznym ciepłem i radością. Nadchodzą przecież Święta... Na drzwiach domostw pojawiają się adwentowe, kolorowe wieńce. Ludzie na coś czekają, pełni niewytłumaczonej radości i nadziei.

Zwykle w grudniu zaczyna padać śnieg, śnieg, który posiada w sobie jakiś dziwny czar, choć w naszych szarych miastach trudno go dostrzec. Na czym polega ten dziwny urok śniegu? Śnieg jest cichy. Śnieg jest biały. Cisza jest zawsze poważna, dostojna, hałas zaś - prostacki i pospolity. Wszystkie rzeczy wielkie na tym świecie powinny się rodzić w ciszy. Ale czy to jest możliwe w dzisiejszym świecie, pełnym zgiełku, hałasu i nieustannej gonitwy za mamoną, a może tylko za odrobiną pieniądza, aby móc przeżyć?

Biel - to czystość i niewinność. Tęsknimy za utraconą przez Grzech Pierworodny czystością, choć jakże często nie zdajemy sobie z tego sprawy.

Świat oczekuje narodzenia Pana, strojąc się w biel grudniowego śniegu, bowiem istotą tego miesiąca jest właśnie oczekiwanie. Czeka cały świat, czeka wszelkie stworzenie. Adwentus, Pan przyjdzie na pewno, otworzy się Ziemia i zrodzi nam Zbawiciela. Zejdzie też z Niebios Niewiasta, którą czcić będą wszystkie narody, a która odkupi błąd naszej pramatki Ewy. Zejdzie cicha i biała jak śnieg.

Jest jeszcze w tym śnieżnym miesiącu inna niewiasta, otoczona szczególnym urokiem, grudniowa patronka - Barbara, czczona przez górników święta, a dla nich umiłowana Barburka, jako ich serdeczna opiekunka. Czwarty grudnia to wielkie górnicze święto. Z wielką paradą, w pióropuszach i z orkiestrą idą górnicy pokłonić się swojej patronce. Nie zapominajmy także o tym, że święta Barbara była patronką polskiego podziemia w czasie okupacji hitlerowskiej. Wtedy to wielu ludzi, co przed tym nie zaznało żadnej modlitwy, przekonało się, jak wielką orędowniczką i mocną pośredniczką jest święta Barbara.

A Boże Narodzenie coraz szybciej się zbliża. Każdy z nas pragnie przygotować się do Świąt jak najlepiej. Nasila się ruch w sklepach, myślimy o smacznych potrawach, o wieczerzy wigilijnej, o choince i świątecznych podarkach. Wigilijne potrawy, sposób ich przyrządzania, kolejność jedzenia - to jest już sama w sobie wielopokoleniowa tradycja każdej rodziny z osobna, utrwalana przez lata. Wszystkie zwyczaje i obyczaje świąteczne, które wywodzą się z wiejskich zagród, są tradycyjne, symboliczne i niezmienne.

A to - wolne miejsce przy stole wigilijnym, a to - parzysta liczba biesiadników, a to - że nikomu nie wolno wstać od stołu, a to - sianko pod obrusem, a to - wyłącznie postne potrawy, a to - nocne czuwanie i wyprawa na mszę świętą - pasterkę o północy... Wszyscy przeżywamy głęboko radość nocy betlejemskiej, łącząc po swojemu stare wierzenia z nowymi obyczajami. Podświadomie tęsknimy do tych świątecznych dni, a dla wielu z nas dzień wigilijny jest z nich najważniejszy i niezastąpiony, który potrafi przesłonić właściwe święta, stając się ich treścią, a nie wstępem. Wspominamy nieobecnych, zmarłych, dzielimy się białym opłatkiem, darowujemy sobie wszelkie urazy, jednamy się ze sobą spontanicznie, zapewniając o wzajemnej miłości i przyjaźni, i mimo woli uświadamiamy sobie, jakim to rajem byłby świat, gdyby prawa nocy wigilijnej rządziły nim na stałe.

Pięknie ubrana choinka, przyćmione światła, zapalone świece, zapach wosku, lasu i żywicy potęgują nastrój, a z daleka słychać już bijące dzwony i płynące cicho melodie kolęd. Każdy z nas, stary czy młody, wierzący czy obojętny religijnie, czuje po prostu, że owe dźwięki, owe melodie stanowią część naszej własnej duszy, że zrosły się nierozerwalnie z polskością, że z niej powstały i stały się naszą narodową dumą. Od wieków bowiem biedny lud polski, przyzwyczajany do niedostatków i surowych zim, dobrze rozumiał, co czuła młoda matka w ubogiej stajence, która rąbkiem swojej chustki okrywała swe Dziecię, złożone w żłobie na zimnym i szorstkim sianie.

Każdy naród chrześcijański ma swoje własne patrzenie na narodziny Dzieciątka. Każdy też posiada swoje własne pieśni bożonarodzeniowe, ale nigdzie nie ma ich tyle co u nas, nigdzie też nie są tak bardzo bezpośrednie i takie tkliwe, płynące wprost z serca i duszy. Polskie bowiem kolędy są najpiękniejsze w świecie, są pełne prostoty, a zarazem artystycznego piękna, uroku i swoistego nastroju, każda ze znanych nam kolęd jest małym arcydziełem, powstałym z tradycji ludowej, z uczucia, miłości i oddania Dzieciątku czy to ubogich pastuszków, czy uczonych poetów, czy zakonnej braci, i czy będą one śpiewane jako poważne pieśni kościelne czy najszczersze ludowe pastorałki - będą zawsze bliskie naszym sercom.



Oto minęły już Święta Bożego Narodzenia, kończy się kolejny stary rok, ale w Rok Nowy wniesiemy ze sobą żywą radość Godów - najpiękniejszych świąt w roku.

Jadwiga Lipińska
Klub Seniora



Prof. Aniela Kita

ANIELA KITA
artysta malarz,
profesor sztuk plastycznych,
Katedra Rysunku, Malarstwa i Rzeźby Wydziału Architektury Politechniki Gdańskiej.

Urodzona w Gdyni. W latach 1957-1963 odbyła studia artystyczne w PWSSP w Gdańsku na Wydziale Malarstwa u profesora Juliana Studnickiego - **malarstwo sztalugowe**, i u prof. Jacka Żuławskiego - **malarstwo monumentalne.** Dyplom z wyróżnieniem uzyskała w 1963 r. Pracę nauczyciela akademickiego w Politechnice Gdańskiej rozpoczęła w tym samym roku. Przeszła kolejne szczeble kariery naukowej, pracując na stanowiskach: asystenta (1963 - 1972), adiunkta (1972 - 1983), docenta (1983 - 1992), profesora nadzwyczajnego od 1992. W dniu 22 sierpnia 1997 r. otrzymała tytuł naukowy profesora.

W latach 1984 - 1987 pełniła funkcję prodziekana ds. kształcenia na Wydziale Architektury. Od 1996 roku kieruje Katedrą Rysunku, Malarstwa i Rzeźby, prowadząc zajęcia z przedmiotu - *Kompozycja kolorystyczna w architekturze.* Przez dwie kadencje jest członkiem Odwoławczej Komisji Dyscyplinarnej dla Studentów Politechniki Gdańskiej. Za pracę dydaktyczną i kierowanie procesem kształcenia studentów otrzymała Nagrody Rektora I stopnia w latach 1985, 1986, 1987, 1993. W 1997 roku została uhonorowana przez ministra Medalem Komisji Edukacji Narodowej. Poza pracą dydaktyczną stale pracuje twórczo. Od 1963 roku bierze udział w wystawach malarstwa sztalugowego okręgowych i ogólnopolskich oraz za granicą w Anglii, Szwecji, Norwegii, Francji, Danii. Swoje prace prezentowała również na wystawach indywidualnych w kraju i za granicą, m.in. w Oxfordzie - Anglia i w Grenaa - Dania. Drugim kierunkiem zainteresowań artystycznych jest projektowanie i realizacja malarstwa monumentalnego w obiektach świeckich i sakralnych. W 1982 roku wygrywa ogólnopolski konkurs na monumentalną kompozycję i wykonanie witraży w technice klasycznej do kościoła pw. Matki Bożej Miłosiernej w Radomiu.

W latach 1991 - 1994 projektuje i realizuje witraże w technice unikatowej w kościele św. św. Judy Tadeusza i Józefa w Rumi. Od 1997 roku wykonuje według własnego projektu monumentalną kompozycję figuralną techniką mozaikową, z włoskich marmurów (kostka 1x1 cm) w kościele p.w. Miłosierdzia Bożego w Kielcach, której to zakończenie planowane jest w 1999 roku.

Obrazy Jej autorstwa znajdują się w zbiorach muzealnych i galeriach w kraju i za granicą oraz w kolekcjach osób prywatnych. Podstawową inspiracją w dokonaniach artystycznych profesor Anieli Kity jest niewyczerpany, szeroki temat zjawisk przyrody oraz funkcjonujący w nim człowiek i jego dzieła. Dodatkowym zaś bodźcem, jakże ważnym dla Niej, są religia, filozofia, nauka i sztuka. Być sobą w ciągłym poszukiwaniu - oto Jej dewiza.

Aniela Kita otrzymała tytuł naukowy profesora 22 sierpnia 1997 roku.



Prof. Marek Kubale

MAREK KUBALE

Urodziłem się 2 lipca 1946 r. w Gdyni. Po ukończeniu III LO w Gdańsku w 1964 r., rozpocząłem studia na Wydziale Łączności. Od tego momentu całe moje zycie zawodowe związane jest z Wydziałem Elektroniki, Telekomunikacji i Informatyki Politechniki Gdańskiej. Tu odbyłem studia, po których zostałem przyjęty do pracy w Instytucie Cybernetyki Technicznej, a po jego przemianowaniu - w Instytucie Informatyki. W lipcu roku 1975 obroniłem pracę doktorską, a w maju 1989 - pracę habilitacyjną, zaś w kwietniu 1998 zostałem mianowany na profesora. Tu przeszedłem wszystkie szczeble awansu zawodowego, od asystenta stażysty do profesora nadzwyczajnego PG, kierownika Katedry Podstaw Informatyki.

Działalność naukowo-badawcza

Jestem autorem 33 artykułów (w tym "filadelfijskich") i około 50 referatów opublikowanych w materiałach konferencji naukowych, oraz ponad 70 komunikatów i odczytów wygłoszonych na konferencjach i seminariach w Europie, Ameryce Północnej, Azji i Nowej Zelandii. Najważniejszą publikacją - poza rozprawą habilitacyjną z 1988 r., zatytułowaną "Metody kolorowania grafów i ich zastosowanie w wybranych problemach technicznych" - jest hasło pt. *Graph Coloring* zamieszczone w VIII tomie *Encyclopedia of Micrucomputers* (USA) oraz książka *Introduction to Computational Complexity and Algorithmic Graph Coloring*, wydana nakładem GTN w 1998 r. Jestem specjalistą w zakresie algorytmicznej teorii grafów, badań operacyjnych i optymalizacji dyskretnej.

W roku 1990 zdobyłem nagrodę indywidualną Ministra Edukacji Narodowej (III stopnia), a w kolejnych latach 9 razy otrzymałem granty MEN i KBN (w tym 5 promotorskich). Ta działalność spowodowała, że znalazłem się na 5. pozycji KBN-owskiej listy 100 najaktywniejszych informatyków RP. Od roku 1970 otrzymałem ponad 20 nagród Rektora PG za działalność naukową, organizacyjną i dydaktykę.

Działalność dydaktyczna i promocja Kadry

Od roku 1989, czyli od momentu uzyskania stopnia dra hab., wypromowałem 36 magistrów - 17 na Politechnice i 19 na Uniwersytecie Gdańskim. W 1994 roku, wydałem skrypt *Introduction to Computational Complexity.* Inną formą działalności jest opieka nad specjalnością *projektowanie systemów informatycznych i programowanie* oraz kierowanie Komisją Programową Informatyki. Ponadto wypromowałem trzech doktorów: Janusza Cielątkowskiego (1996), Konrada Piwakowskiego (1996) i Krzysztofa Manuszewskiego (1998). Dwie dalsze obrony przewidziane są na rok 1999.

Działalność organizacyjna w PG

Po doktoracie byłem kolejno: pełnomocnikiem Rektora PG ds. komputerowego planowania zajęć (1984-87), kierownikiem Zakładu/Katedry Podstaw Informatyki (od 1990), członkiem Rady Bibliotecznej PG (1990-93), przewodniczącym Rektorskiej Komisji ds. Informatyzacji PG (1991-93). Niezależnie od tego byłem członkiem Rektorskiej Komisji ds. Komputeryzacji

Biblioteki Głównej UG (1991-92). Na wydziale ETI zaś pełniłem funkcje wiceprzewodniczącego Komisji Rekrutacyjnej i Komisji Wyborczej (1990), opiekuna filii Biblioteki Głównej (1991-93), członka, a następnie przewodniczącego Komisji Programowej Informatyki (od 1991-) oraz przewodniczącego Komisji Doktorskiej Informatyki (1995-96).

Działalność naukowo-organizacyjna poza PG

Przebieg mojej działalności naukowo-organizacyjnej przedstawia się następująco: od 1989 roku jestem członkiem *American Mathematical Society* (USA), recenzentem *Mathematical Reviews* (USA) i *Zentralblutt für Mathematik* (RFN) od 1990 r., członkiem kolegium redakcyjnego czasopisma NETWORKS (USA), członkiem *Institute of Combinatorics and its Applications* (Kanada). Od 1992 r., jestem członkiem redakcji czasopisma *DISCUSSIONES MATHEMATICAE* (*Graph Theory*) (Polska), od 1994 r. członkiem *New York Academy of Sciences*, od 1993 r. członkiem *Komitetu Naukowego Elektronicznego Biuletynu Informatyki Teoretycznej*, członkiem *Komitetu Programowego Ogólnopolskich Zawodów w Programowaniu Zespołowym* (sędzia główny) oraz członkiem *Komitetu Narodowego ds. Współpracy z IFIP*. Od roku 1993 biorę też udział w pracach Komitetu Informatyki PAN oraz Zespołu T11 KBN, najpierw w Sekcji Informatyki (1992-93), a następnie w Sekcji Metod Komputerowych w Nauce (1994-1997).

Marek Kubale otrzymał tytuł naukowy profesora 15 kwietnia 1998 roku.

Fragmenty wywiadu z Kierownikiem Studium WFiS mgr. Januszem Markowskim, opublikowanego w "Akademickim Przeglądzie Sportowym" w październiku 1998 r.

Gratuluję sukcesu w XIX Mistrzostwach Szkół Wyższych. Po raz drugi Politechnika Gdańska zwyciężyła w swojej klasie, i to tym razem zdecydowanie. Proszę powiedzieć, od kiedy pracuje pan w Studium WFiS?

Do pracy w Studium zostałem przyjęty w 1985 roku jako nauczyciel wychowania fizycznego oraz opiekun sekcji l.a. Jestem i z wykształcenia, i z zamiłowania, i z praktyki lekkoatletą. W młodości uprawiałem skok wzwyż, a mój rekord w tej konkurencji wynosi 216 cm (było to prawie 20 lat temu). W tych czasach najlepszym polskim skoczkiem był Jacek Wszoła. Ja ocierałem się o kadrę narodową. Posiadałem więc bagaż doświadczenia zawodniczego, również jako trener uzyskałem szereg znaczących rezultatów doprowadzając wielu swoich wychowanków do medali w mistrzostwach Polski. Po roku pracy na Politechnice Gdańskiej zostałem zastępcą kierownika Studium ds. sportowych. Funkcja ta bardzo dobrze korespondowała z moimi zainteresowaniami sportowymi, już wtedy podjąłem działania mające na celu podniesienie rangi sportu i kultury fizycznej wśród społeczności akademickiej. Po kolejnych 4 latach pracy zostałem kierownikiem Studium, na tym stanowisku pozostaję do dzisiaj.

Na ten okres przypadły sukcesy studentów - sportowców pana uczelni w Mistrzostwach Szkół Wyższych?

To fakt. Jednak było to kilka lat ciężkiej pracy. Zarówno mojej jako kierownika, jak i całego zespołu dydaktycznego. W tamtym okresie na polskich uczelniach i w naszym kraju w ogóle zaszły kolosalne zmiany. Studia WFiS z kierowanych i sterowanych jednostek uczelnianych "wpadły na głębokie wody". Nasze władze rektorskie dały nam dużą samodzielność z jednej strony, ale również z drugiej strony bardzo ograniczone środki finansowe. Dlatego bardzo ważne było, by nasza praca i działalność były dostrzegane, oraz by przetrwać najtrudniejsze lata. Mając do czynienia ze znacznymi ograniczeniami finansowymi i trudnościami z nimi związanymi skupiliśmy się na spektrum naszego działania. Ograniczyliśmy koszty naszej działalności, ale nie zmniejszyliśmy jej zakresu. Czasami były to działania nieformalne, np. prowadzący zajęcia na sali nadzorował jednocześnie grupę ćwiczącą na siłowni; takich działań było więcej. Taktykę tę przyjęliśmy na przejściowy okres, przyświecało nam hasło: nie likwidować, lecz przetrwać.

Również nasze władze tak podeszły do spraw wf-u na uczelni. Sposób finansowania był podobny do finansowania wydziałów. W ramach tych środków mieliśmy dużą samodzielność, ich



Kadra dydaktyczna Studium Wychowania Fizycznego i Sportu Politechniki Gdańskiej prawie w komplecie

zwiększenie poprzez naszą aktywność i zorganizowaną działalność powodowało zwiększenie naszych możliwości.

A jak w chwili obecnej wygląda organizacja Studium WFiS?

Aktualnie pracuje w Studium 24 nauczycieli akademickich na pełnych etatach. Każdy z nich prowadzi zajęcia z tzw. ogólnego wychowania fizycznego (zajęcia na sali i basenie) oraz odpowiada za węższą stronę działalności Studium zgodnie ze swoją specjalnością. I tak zatrudniamy fachowców od rehabilitacji, nauki pływania, aerobiku oraz od wielu dyscyplin sportowych. Wśród tych ostatnich prym wiodą najbardziej popularne w środowisku akademickim: gry sportowe, pływanie, lekka atletyka. Pojawiają się również nowe specjalności, jak trójbój siłowy, ergometr wioślarski i inne.



Mgr Janusz Markowski

Obowiązkowym wychowaniem fizycznym objętych jest ponad 6 000 studentów. Na wydziałach o liczbie godzin z tego przedmiotu decydują Rady Wydziałów. W większości przypadków wychowanie fizyczne jest przedmiotem obowiązkowym od IV do VI semestru. Jest to średnia, która kształtuje się w granicach ogólnopolskiej normalności.

Z pracą w sporcie związana jest baza sportowa. Proszę przedstawić jej stan.

Nie jesteśmy oczarowani jej stanem, natomiast jej potencjał i wielkość sytuują ją wśród najlepszych w Polsce. Co prawda już się starzeje, ale zlokalizowana jest w jednym miejscu i jest różnorodna.

Swoje obiekty sportowe wykorzystujemy w sposób optymalny. Na hali sportowej ćwiczą od godz. 7.15 do 23.00 dwie grupy jednocześnie, na basenie pływackim również, ponadto mały basen służy do nauki pływania; wykorzystywana jest również świeżo adaptowana sala do aerobiku oraz siłownia, wioślarnia, sala judo i korty tenisowe - w sezonie letnim. Pomimo to zmuszeni jesteśmy do wynajmowania kilku dużych sal w pobliżu uczelni. Kwoty płacone za korzystanie z nich są w skali roku niebagatelne i wynoszą około 100 tys. złotych. Żeby zaspokoić potrzeby studentów w pełni, konieczna jest budowa jeszcze jednej wielofunkcyjnej hali sportowej. Od wielu lat jest ona w planie, rokrocznie taki wniosek jest zgłaszany przez Studium na szczeblu uczelni, ale gradacja potrzeb ciągle ten wniosek lokuje na dalekiej pozycji.

Od dawna uczestniczę w posiedzeniach Senatu i nie tyle usprawiedliwiam władze uczelni, ale mam pełną świadomość, z jakimi problemami inwestycyjnymi, remontowymi i finansowymi boryka się nasza uczelnia. Dlatego nie mogę oczekiwać, że zdecyduje się ona na budowę hali bez zagwarantowania znaczących, pozauczelnianych środków finansowych. W takiej sytuacji pozostaje nam przede wszystkim utrzymanie posiadanej bazy na odpowiednim poziomie użytkowym. W tej kwestii mamy swoje osiągnięcia, choć nie są one jeszcze na miarę naszych oczekiwań. Rok temu wyremontowaliśmy nieckę dużego basenu (ze środków Ministerstwa Edukacji Narodowej), jeszcze wcześniej cały ciąg dachów na obiekcie, obecnie kończymy przebudowę i remont zaplecza sanitarno-higienicznego basenu (część środków pochodzi z Wojewódzkiego Funduszu Osób Niepełnosprawnych). Dzięki dobrej współpracy z Wydziałem Zarządzania i Ekonomii, przy wzajemnych korzyściach adaptowaliśmy niewykorzystany hol na piękną salę do aerobiku.

Należy podkreślić, że dużo łatwiej jest realizować wszystkie te zamierzenia dzięki sukcesom sportowym naszych studentów, odniesionym w ostatnich latach.

Kolejne sukcesy sprzyjają korzystnemu klimatowi na uczelni. Zarówno rektor, jak i prorektor starają nam się pomóc, nie stwarzają nam żadnych problemów "przyziemnych", które mogłyby uprzykrzać nam życie na co dzień.

Przyznaję, że skrzętnie pielęgnujemy sprzyjającą atmosferę wokół spraw sportu na naszej uczelni, ponieważ mamy nadzieję dalej rozszerzać działalność Studium. Zależy nam na uzyskiwaniu takich środków finansowych, które pozwoliłyby zaoferować zarówno studentom, jak i pracownikom uczelni szeroką gamę zajęć rekreacyjno-sportowych. Myślę, że za symboliczną złotówkę wszyscy oni chętnie przychodziliby na basen, kort czy siłownię. A więc upowszechnienie i masowość sportu, rekreacji fizycznej, profilaktyki poprzez ruch.

Czy można osiągnąć sukces bez opracowania strategii, bez prowadzenia tzw. polityki wokół sprawy?

Oczywiście nie. Nie ukrywam, że po zwycięstwie w XVIII Mistrzostwach SzW, a przed kolejnymi rozgrywkami, sprawy postawiłem jasno: uczelnię i mnie interesuje osiągnięcie eksponowanego miejsca. Nie powiedziałem, że musimy koniecznie wygrać, znam potencjał Politechniki Warszawskiej, która zwyciężała w tych rozgrywkach od lat. Dlatego trenerzy zostali poinformowani, czego od nich oczekuję i dlaczego. Starałem się wszystkim uświadomić, że pracujemy razem, aby osiągnąć wspólny cel. Okazało się, że zrozumieliśmy się doskonale, każdy zrobił, co mógł, aby jego drużyna była odpowiednio przygotowana, zarówno od strony merytorycznej (formy sportowej), jak i organizacyjnej.

Ważnym elementem w osiągnięciu sukcesu sportowego było zagwarantowanie odpowiednich środków finansowych. Udział zespołu w imprezie jest dotowany z funduszu na działalność studencką, te pieniądze rozdziela parlament uczelni. Prawdę powiedziawszy, starcza nam tych środków na pół edycji. Pozostałe starty finansowane są praktycznie z rezerwy rektora. I dlatego dobrze, że udział w tych Mistrzostwach udaje nam się łączyć z sukcesem sportowym. Gdyby tego sukcesu zabrakło, o te środki byłoby znacznie trudniej.

Mistrzostwa SzW są główną i jedyną jak do tej pory tego typu imprezą. Sekcje startują raz na dwa lata. Czy nie uważa pan, że to za mało?

Tak, zgadzam się z tym, że takich imprez w środowisku, akademickim powinno być więcej, ale... organizacja i przeprowadzenie innych wiąże się ze sprawą finansową. Przypomnę, że niektóre sekcje na niektórych uczelniach nie startują nawet w Mistrzostwach SzW, bo nie mają funduszy, a cóż dopiero, gdyby miały możliwość rozegrania 2- 3 podobnych imprez w ciągu roku. To jedna strona sprawy. Z drugiej jednak strony, z punktu widzenia racjonalności pracy sekcji, celów, zadań szkoleniowych, start w jednej imprezie to rzeczywiście za mało. Dobrze, gdy w danym środowisku istnieje system rozgrywek i zawodów środowiskowych, uczelnianych, tak jak u nas w Trójmieście. To za sprawą Zarządu Środowiskowego AZS Gdańsk. Fakt, że te imprezy mają inny wymiar niż zawody ogólnopolskie. Pozwalają one jednak na rywalizację studentów z uczelni różnych typów, ocenę pracy trenera sekcji.

Dziękuje za rozmowę.

Halina Hanusz

PS. Powyższe fragmenty autoryzowanego wywiadu z mgr. Januszem Markowskim, kierownikiem Studium Wychowania Fizycznego i Sportu Politechniki Gdańskiej, przeprowadzonego przez Halinę Hanusz, zostały przedrukowane z "Akademickiego Przeglądu Sportowego", październik 1998, za zgodą autorki.

Politechnika Gdańska ponownie na podium



W środku: Barbara Rusiłowicz (WZiE) na najwyższym podium w Mistrzostwach Polski Politechnik w Pływaniu

Czas biegnie szybko. Jeszcze nie tak dawno świętowaliśmy wspólnie (patrz artykuł "Politechnika Gdańska mistrzem" w "Piśmie PG" z grudnia 1996 r.) wielki sukces naszych studentów-sportowców, którzy w kolejnej edycji Mistrzostw Szkół Wyższych, dla barw naszej Alma Mater wywalczyli miano najbardziej usportowionej politechniki w Polsce. Minęły dwa lata i dokonano podsumowania X1X edycji tych rozgrywek. **Politechnika Gdańska ponownie wywalczyła prymat w klasyfikacji generalnej.**

Uroczyste zakończenie, podsumowanie i wręczenie nagród odbyło się w Łodzi, w miejscowej Filharmonii, podczas inauguracji sportowego roku akademickiego 1998/99.

Oceny rozgrywek dokonał Prezes Zarządu Głównego AZS prof. Aleksander Roniker, nagrody wręczył Przewodniczący Komitetu Kultury Fizycznej i Sportu Jacek Dębski, natomiast gratulacje odebrał JM Rektor Politechniki Gdańskiej prof. dr hab. inż. Aleksander Kołodziejczyk. Oprócz pucharu i dyplomu uczelnia nasza, jako nagrodę główną, otrzymała certyfikat własności na motocykl marki Honda.

Obecność Jego Magnificencji była bardzo miłym akcentem tych uroczystości, odebranym przez nauczycieli Studium Wychowania Fizycznego i Sportu jako wyraz uznania i szacunku Władz Uczelni dla ich trudnej, odpowiedzialnej pracy trenera i wychowawcy. Potwierdzeniem tej opinii były gratulacje złożone przez prof. A. Kołodziejczyka na ręce pracowników Studium podczas posiedzenia Senatu Politechniki Gdańskiej w dniu 28.10.br.

Mistrzostwa już od początku lat 60. są najważniejszą imprezą sportową dla sekcji klubów uczelnianych AZS, stanowiącą zwieńczenie całego systemu imprez sportowych w środowisku akademickim - od imprez uczelnianych, poprzez ligi międzyuczelniane, aż po imprezy centralne. To właśnie Mistrzostwa stanowią okazję do porównania jakości pracy poszczególnych sekcji, umiejętności trenerów i zaangażowania zawodników. Jest to również sprawdzian możliwości czysto organizacyjnych klubu uczelnianego i Studium, a także odzwierciedlenie roli, jaką spełniają te jednostki w krzewieniu szeroko pojętej studenckiej kultury fizycznej.

W porównaniu z XVIII edycją wzięło w niej udział znacznie więcej uczelni, zorganizowano dużo więcej imprez, w których wzięło udział ponad 1000 zespołów (wzrost o 47%) i około 9 500 uczestników (wzrost o około 35%). Wzrosła też znacznie liczba sklasyfikowanych dyscyplin (PG startowała w 29, wzrost o 33%). Wszystkie liczby świadczą o tym, jak trudno jest osiągnąć w tych rozgrywkach sukces. Dwa lata temu pierwsze miejsce naszej uczelni było dużym zaskoczeniem. Podrażniona w swych mocarstwowych ambicjach Politechnika Warszawska

Tabela 1
Punktacja generalna
XIX Edycji Mistrzostw Szkół Wyższych

Kolejność	Nazwa uczelni	Punktacja
1	Politechnika Gdańska	420
2	Politechnika Warszawska	397,5
3	Politechnika Wrocławska	354
4	AGH Kraków	353
5	Politechnika Łódzka	349,5
6	Politechnika Śląska	321,5
7	Politechnika Szczecińska	280
8	Politechnika Poznańska	208,5
9	Politechnika Radomska	202,5
10	Politechnika Krakowska	167,5
11	Politechnika Lubelska	147,5
12	Politechnika Koszalińska	115
13	Politechnika Opolska	104
14	Politechnika Częstochowska	96,5
15	Politechnika Świętokrzyska	96
16	Politechnika Białostocka	92,5
17	Politechnika Rzeszowska	86,5
18	Politechnika Zieleniogórska	66

Tabela 2
Klasyfikacja sekcji o najwyższym dorobku punktowym uzyskanym w ciągu ostatnich dziesięciu lat trwania Mistrzostw

Sekcja	1986/88 lokata	1988/90 lokata	1990/92 lokata	1992/94 lokata	1994/96 lokata	1996/98 lokata	Liczba zdobytych punktów
1. Piłka ręczna	I	I	I	IV	I	I	90
2. LA mężczyzn	II	II	II	I	II	II	84
3. Pływanie kobiet	III	II	I	I	III	IV	79
4. LA kobiet	III	III	IV	I	III	IV	77
5. Piłka nożna	I	V	VII-VIII	II	I	IV	75,5
6. Judo	III	VI	II	II	IV	II	75
7. Koszykówka mężczyzn	VI	V	V	VI	II	I	70
8. Pływanie mężczyzn	II	IV-V	V	VII	V	III	67,5

zapowiadała srogi rewanż. Pomimo dużej mobilizacji, olbrzymiego potencjału, musiała zadowolić się drugą lokatą. Zwyciężyli nasi trenerzy, nasi zawodnicy, zwyciężyła nasza Politechnika.

"Sukces ma wielu ojców" - to stara maksyma. Jednak w tym przypadku tak rzeczywiście było. Na słowa uznania zasłużyli wszyscy trenerzy opiekunowie sekcji, i ci, co zdobyli medale, i ci pozostali. Należy podkreślić, że wśród 18 startujących politechnik nasze zespoły zawsze mieściły się w pierwszej dziesiątce.

Jest to efekt dużego zaangażowania, zdolności organizacyjnych oraz posiadanej wiedzy zawodowej kadry dydaktycznej Studium. Na te elementy nałożyły się: olbrzymia ambicja, umiejętności sportowe i wiara w swoje możliwości studentów-sportowców naszej uczelni.

Nie do przecenienia była rola pani prorektor ds. kształcenia prof. Alicji Konczakowskiej, która stworzyła wokół naszej działalności niezwykle ciepły klimat, udzielając m.in. niezbędnej pomocy organizacyjno-finansowej. Również bardzo dobra współpraca Studium z klubem uczelnianym AZS i Samorządem Studenckim nie była bez znaczenia. Wszystkie te elementy musiały zaistnieć jednocześnie, brak jednego z nich groziłby utratą eksponowanej pozycji.

Należy o tym pamiętać w kontekście zbliżającej się kolejnej edycji Mistrzostw Szkół Wyższych. Pierwsze starty już za miesiąc!

Janusz Markowski
Studium Wychowania Fizycznego i Sportu

R E K T O R

AKADEMIA MUZYCZNA
IM. STANISŁAWA MONIUSZKI
GDAŃSK

Jego Magnificencja
prof. dr hab.inż.Aleksander Kołodziejczyk
Rektor Politechniki Gdańskiej

Wielce Szanowny Panie Rektorze,

Już prawie pięć lat minęło od momentu, kiedy zaproszeni przez władze Politechniki Gdańskiej rozpoczęliśmy trwający do dziś cykl koncertowy. W tym czasie na estradzie Politechniki Gdańskiej występowali pedagodzy i studenci, soliści i zespoły kameralne, a nawet orkiestra naszej uczelni muzycznej. Zawsze w tych dostojnych murach spotykaliśmy się z niezmiernie życzliwym przyjęciem, zawsze opuszczliśmy je z przeświadczeniem, że potrzeba sztuki to fakt realny.

Za udzielaną nam gościnę u progu kolejnego sezonu pragnę przekazać na ręce Pana Rektora wyrazy naszej wdzięczności. Jestem przekonany, że podczas kolejnych koncertów nie braknie dokonań artystycznych wysokiej próby, Życząc dalszych wzruszeń artystycznych

łączę wyrazy szacunku wraz z serdecznymi pozdrowieniami

prof. Waldemar Wojtal

Gdańsk, 20.10.1998

UL. ŁAGIEWNIKI 3
80 - 847 GDAŃSK
TEL.: (058) 317 723
FAX: (058) 314 365

Od Redakcji: Pani Mirosława Modrzewska z Biblioteki Głównej Politechniki Gdańskiej, po wygraniu konkursu, który obejmował m.in. egzamin z języka angielskiego TOEFL oraz rozmowę kwalifikacyjną, jako jedyna z bibliotekarzy wszystkich bibliotek w Polsce została zakwalifikowana na stypendium Library of Congress Soros Foundation Fellowship 1998. Było to trzymiesięczne stypendium w Bibliotece Kongresu w Waszyngtonie, trwające od 1 kwietnia do 30 czerwca br., w którym brało udział 12 osób z rozwijających się krajów Europy i Azji (Albania, Armenia, Azerbejdżan, Bośnia i Hercegowina, Chorwacja, Gruzja, Kazachstan, Macedonia, Mongolia, Polska, Rosja, Słowacja).

Biblioteka Kongresu



Biblioteka Kongresu - Jefferson Building w Waszyngtonie

Biblioteka Kongresu jest największą biblioteką w świecie, posiadającą powyżej 113 milionów zbiorów w każdym bez mała języku i formacie: od antycznych chińskich druków drzeworytniczych do współczesnych zapisów na dyskach optycznych. Założona 24 kwietnia 1880 roku, aby zaspokoić potrzeby Kongresu Stanów Zjednoczonych, Biblioteka urosła do nieporównywalnego skarbca wiedzy i twórczości.

HISTORIA

Biblioteka Kongresu pełni rolę biblioteki narodowej. Z jej usług korzystają nie tylko członkowie Kongresu, ale także władze wykonawcze i ustawodawcze, biblioteki w kraju i na świecie, nauczyciele, badacze, artyści i naukowcy oraz szerokie rzesze innych czytelników.

Nie zawsze tak było. Kiedy prezydent John Adams podpisał projekt, który dotyczył przeniesienia stolicy do Waszyngtonu w roku 1800, stworzył bibliotekę, która w zasadzie pełniła tylko rolę czytelni wydawnictw informacyjnych dla potrzeb Kongresu. Projekt przewidywał, między innymi, przeznaczenie 5 000 dolarów na zakup książek na użytek Kongresu oraz na przygotowanie pomieszczenia, gdzie będą przechowywane.

Pierwsze książki zostały zamówione w Anglii i dotarły przez Atlantyk w 11 skrzyniach i pudle na mapy. Biblioteka mieściła się w budynku nowego Kapitolu do sierpnia 1814, kiedy to wojska brytyjskie najechały Waszyngton i spaliły budynek Kapitolu. Mała, licząca ok. 3 000 woluminów kolekcja biblioteki kongresowej uległa zniszczeniu w ogniu.

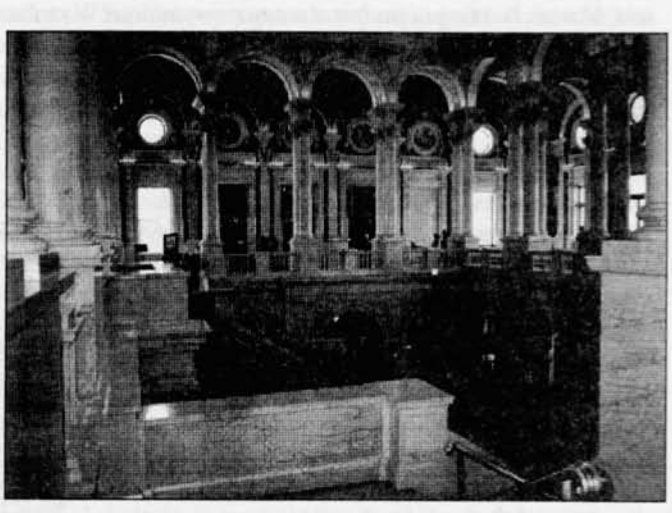
W ciągu miesiąca poprzedni prezydent Thomas Jefferson, przebywający na emeryturze w Monticello, zaoferował w zamian za utracone zbiory swoją prywatną bibliotekę, której zbiory gromadził na przestrzeni 50 lat. Uważano ja za jedną z najlepszch w Stanach Zjednoczonych. Po debacie w Kongresie w styczniu 1815 zaakceptowano ofertę Jeffersona, przeznaczając kwotę 23 950 dolarów na kolekcję 6 487 książek. W ten sposób położone zostały podwaliny pod bibliotekę narodową.

Jeszcze dwa pożary zaznaczyły się w historii Biblioteki Kongresu. W 1825 r. mały pożar spalił niektóre zapasowe egzemplarze. Natomiast poważniejszy pożar w roku 1851 zniszczył 2/3 zgromadzonych zbiorów - ok. 35 000 woluminów, w tym także znaczną część biblioteki Jeffersona. To spowodowało, że za zgodą wiekszości członków Kongresu, zdecydowano o przyznaniu środków na odtworzenie zniszczonej kolekcji oraz na zbudowanie, zaprojektowanych specjalnie dla Biblioteki, pomieszczeń w zachodnim skrzydle Kapitolu.

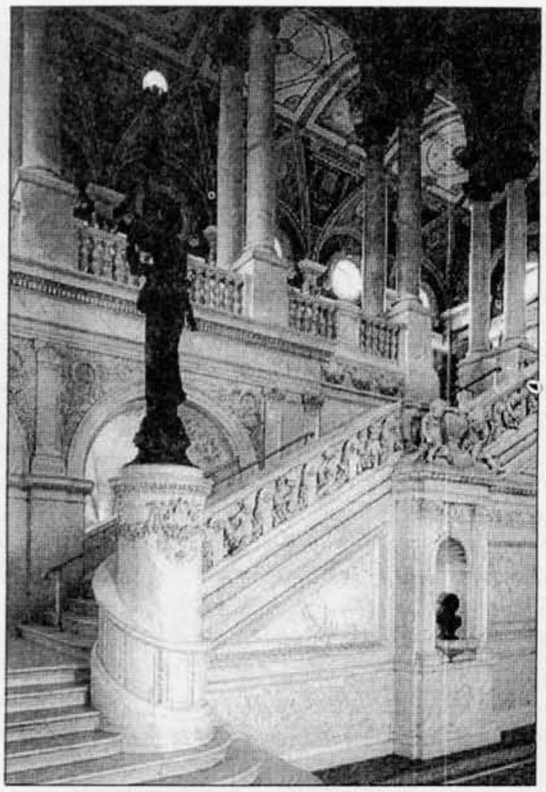
Pod koniec wojny domowej zbiory Biblioteki urosły do 82 000 woluminów i korzystali z nich głównie członkowie Kongersu; Biblioteka była widziana głównie jako "Biblioteka Kongresowa", jak popularnie ją nazywano do pierwszych lat XX wieku.

ROZSZERZANIE KOLEKCJI

W 1864 roku prezydent Lincoln zatrudnił jako bibliotekarza Kongresu (dyrektora) człowieka, którego zadaniem było przekształcenie Biblioteki w dostępną nie tylko członkom Kongresu, prawnikom z Sądu Najwyższego, członkom gabinetu i korpusu dyplomatycznego. Ainsworth Spofford otworzył bibliotekę dla ogółu czytelników i znacznie zwiększył jej zbiory. On to z powodzeniem doradził zmiany dotyczące prawa autorskiego, tak by Biblioteka mogła otrzymywać trzy bezpłatne egzemplarze każdej książki, mapy, planu, utworu dramatycznego lub muzycznego, sztychu, ryciny, fotografii, druku ubiegającego się o prawa autorskie. Dzięki porozumieniu ze Smithsonian Institution, zaczął także gromadzić na zasadach wymiany amerykańskie materiały naukowe. Wprowadzenie kolejnego prawa spowodowało przekazywaniu Bibliotece bezpłatnych kopii z posiedzeń Kongresu oraz wszystkich amerykańskiech ustaw. Spofford zainicjował wymianę tych dokumentów z krajami, które utrzymywały stosunki dyplomatyczne ze Stanami Zjednoczonymi. Zapobiegliwy dyrektor zapełnił wkrótce pokoje biblioteczne w Kapitolu, jak również



Hol główny w Jefferson Building



Schody w holu głównym w Jefferson Building

strych i korytarze. Dlatego też w 1873 udało mu się przeforsować kolejny projekt: zbudowanie odrębnego budynku, gdzie można by gromadzić rosnącą stale narodową kolekcję, i gdzie w czytelniach naukowcy i zwykli czytelnicy mogliby korzystać ze zbiorów.

Dzięki ustawie o prawie autorskim do kolekcji trafia rocznie około miliona nowych pozycji; połowa z nich jest włączana na stałe do zbiorów. Dodatkowe nabytki pochodzą z darów i darowizn, z wymiany z krajowymi i międzynarodowymi instytucjami oraz, w mniejszym stopniu, z zakupu.

Biblioteka Kongresu to nie tylko biblioteka narodowa Stanów Zjednoczonych. Chcąc sprostać wymaganiom swoich czytelników, od lat czynione są wysiłki, by wzbogacić zbiory - na zasadzie wymiany - o publikacje agencji rządowych oraz instytucji naukowych i kulturalnych innych państw, w tym także polskich.

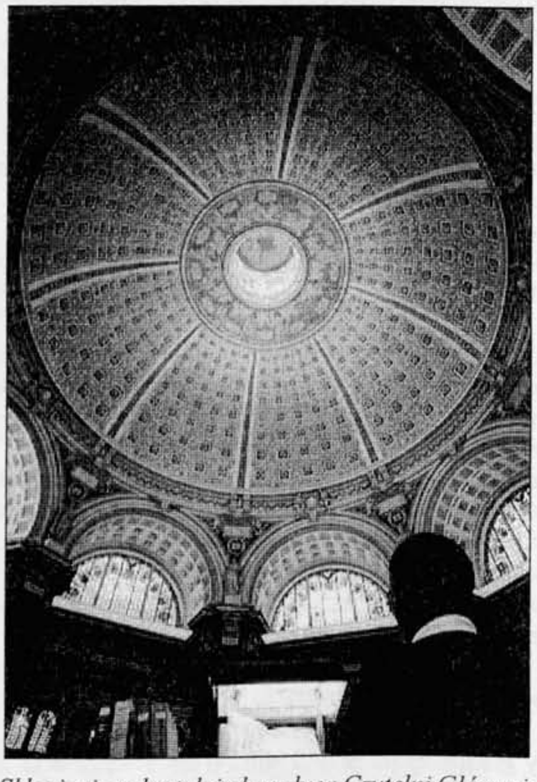
Biblioteka Główna Politechniki już od 45 lat współpracuje z Biblioteką Kongresu. W 1953 roku, ówczesny dyrektor Biblioteki, Marian Des Loges, podpisał umowę o wymianie. W zamian za bogatą ofertę książek przysyłanych z Waszyngtonu, oczekuje się od nas dostarczania materiałów z wszystkich konferencji, których organizatorem lub współorganizatorem jest Politechnika Gdańska.

Trochę statystyki - rok 1997 w Bibliotece Kongresu

- ok 1.8 miliona zwiedzających;
- udzielono odpowiedzi na zapytania informacyjne od 629 269 czytelników, którzy osobiście odwiedzili Bibliotekę;
- ogółem w zbiorach były 113 026 742 pozycje, w tym:
  - ★ 17 402 100 książek skatalogowanych w systemie klasyfikcyjnym Biblioteki Kongresu;
  - ★ 9 308 101 książek pisanych wielkimi literami, pismem wypukłym, inkunabułów (książki wydrukowane przed 1501 rokiem), monografii i serii, nut, oprawionych gazet, broszur, raportów technicznych i innych materiałów drukowanych;
  - ★ 86 316 541 pozycji zbiorów specjalnych, takich jak:
    - 2 390 167 materiałów audio (m in. płyty, taśmy, książki mówione,
    - 49 147 855 rękopisów,
    - 4 451 790 map,
    - 11 767 481 mikroform,
    - 13 156 713 materiałów wizualnych; w tym zawiera się:
      - ♦ 772 104 obrazy ruchome (filmy),
      - ♦ 11 908 937 fotografii,
      - ♦ 82 628 plakatów,
      - ♦ 393 044 grafiki i obrazy;
- zarejestrowano 569 226 zgłoszeń do prawa autorskiego. Odpowiedziano na 421 150 zapytań poprzez Biuro Prawa Autorskiego (Copyright Office);
- zakończono 530 000 opracowań dla Kongresu poprzez Służbę Badań Kongresowych (Congressional Research Service);
- przewodnicy oprowadzili po Bibliotece 65 717 turystów;
- wypożyczono 23 150 000 płyt, kaset i druków w piśmie Braille'a 780 000 niewidzącym i fizycznie upośledzonym czytelnikom;
- w komputerowej bazie danych znajdowało się powyżej 40 000 000 rekordów;
- średnio miesięcznie dokonywano 42,5 miliona operacji we wszystkich ogólnodostępnych systemach elektronicznych Biblioteki;
- zatrudniano w pełnym wymiarze godzin i na umowę stałą 4 070 pracowników;
- budżet Biblioteki wynosił ok. 361 896 000 dolarów.

Wymiernym efektem pobytu na stypendium w Bibliotece Kongresu jest dar ponad 60 tytułów wydawnictw informacyjnych, encyklopedycznych oraz innych publikacji z różnych dziedzin nauki, przekazany Bibliotece Głównej PG. Książki te można obejrzeć na wystawie w holu głównym Biblioteki.

Mirosława Modrzewska
Biblioteka Główna



Sklepienie w kształcie kopuły w Czytelni Głównej w Jefferson Building

The 6th Conference "Shell Structures, Theory and Applications"

W dniach 12-14 października 1998 w położonym nad Zatoką Gdańską hotelu Neptun w Juracie odbyła się szósta konferencja omawiająca aktualne osiągnięcia w zakresie badań naukowych, projektowania, wykonawstwa oraz remontów konstrukcji powłokowych.

Dla osób nie związanych z mechaniką nazwa "konstrukcje powłokowe" wymaga pewnego komentarza. Chodzi tu o często spotykane w praktyce konstrukcje cienkościenne, takie jak zbiorniki na płyny, smukłe przekrycia dachowe, części maszyn i urządzeń, w których jeden wymiar jest znacznie mniejszy od dwu pozostałych, np. karoserie samochodów, poszycia statków i samolotów, a także puszki na napoje.

Konferencja została zorganizowana przez: Sekcję Mechaniki Konstrukcji Komitetu Inżynierii Lądowej i Wodnej PAN, Katedrę Mechaniki Budowli Wydziału Budownictwa Lądowego Politechniki Gdańskiej oraz Polskie Towarzystwo Mechaniki Teoretycznej i Stosowanej Oddział w Gdańsku.

Patronami konferencji byli: Jego Magnificencja Rektor Politechniki Gdańskiej prof. dr hab. inż. Aleksander Kołodziejczyk, Dziekan Wydziału Budownictwa Lądowego prof. dr hab. inż. Zbigniew Cywiński, Prezes Zarządu Rafinerii Gdańskiej S.A. mgr inż. Włodzimierz Dyrka i Dyrektor Przedsiębiorstwa Eksploatacji Rurociągów Naftowych "Przyjaźń" Płock mgr inż. Henryk Janczewski.

Sponsorami konferencji były firmy: Arot via Polska (Leszek Janusz, Paweł Włudarczyk), Asenhajmer Sp. z o.o. (Jacek Asenhajmer, Krzysztof Łubiński), Centrum Techniki Okrętowej (Zbigniew Karpiński), Hoban (Piotr Jasina), Mazurskie Przedsiębiorstwo Remontowo-Budowlane J.W. Ślepsk (Józef Wiszniewski), Mostor s.c. Zakład Robót Mostowych i Komunikacyjnych (Zbigniew Kuncewicz, Sławomir Dudziak), Mostostal Gdańsk S.A. (Lech Walczak, Sławomir Polikowski, Jacek Faron, Krystyna Nowakowska), Polnord S.A. (Andrzej Ubertowski), Polski Rejestr Statków (Jan Jankowski), Powszechna Kasa Oszczędności Oddział Regionalny w Białymstoku (Teodor Fiedoruk), Przedsiębiorstwo Eksploatacji Rurociągów Naftowych "Przyjaźń" Płock (Henryk Janczewski), Rafineria Gdańska S.A. (Włodzimierz Dyrka), Sika Poland Sp. z o.o. (Maciej Tymowski) oraz Waza Sp. z o.o. (Tomasz Potocki). Ponadto konferencja była finansowana przez: Komitet Badań Naukowych, Polskie Towarzystwo Mechaniki Teoretycznej i Stosowanej - Oddział Gdańsk oraz Wydział Budownictwa Lądowego Politechniki Gdańskiej. Należy tu podkreślić, że bez wsparcia finansowego sponsorów zorganizowanie tej konferencji byłoby wręcz niemożliwe. Wszystkim wymienionym firmom i instytucjom jeszcze raz bardzo dziękujemy.

Nad poziomem merytorycznym konferencji czuwał Komitet Naukowy: prof. dr hab. inż. Wojciech Pietraszkiewicz (przewodniczący, IMP PAN Gdańsk), dr hab. inż. Jacek Chróścielewski (PG Gdańsk), prof. dr inż. Marian Golczyk (PO Opole), prof. dr hab. inż. Stefan Joniak (PP Poznań), prof. dr hab. inż. Michał Kleiber (IPPT PAN Warszawa), prof. dr hab. inż. Piotr Konderla (PW Wrocław), prof. dr hab. inż. Marian Królak (PŁ Łódź), dr hab. inż. Tomasz Lewiński (PW Warszawa), prof. dr hab. inż. Rościsław Tribiłło (PB Białystok), prof. dr hab. inż. Zenon Waszczyszyn (PK Kraków), prof. dr hab. inż. Czesław Woźniak (PCz Częstochowa) oraz prof. dr hab. inż. Jerzy Ziółko (PG Gdańsk).

W pracach Komitetu Organizacyjnego uczestniczyli: dr hab. inż. Jacek Chróścielewski (przewodniczący), prof. dr hab. inż. Czesław Szymczak (wiceprzewodniczący), dr inż. Jarosław Górski (sekretarz) oraz dr inż. Czesław Branicki, mgr inż. Marek Jasina, dr inż. Paweł Kłosowski, mgr inż. Izabela Lubowiecka, mgr inż. Marek Skowronek.

Konferencja "Konstrukcje Powłokowe, Teoria i Zastosowania" początkowo miała charakter wyłącznie krajowy. Ze względu na znaczący wkład polskich naukowców w rozwój tej dziedziny wiedzy, ostatnia, szósta konferencja, podobnie jak poprzednia miała charakter międzynarodowy (patrz tabela 1). Ośrodek gdański jest po raz drugi organizatorem takiego spotkania naukowców i praktyków. W roku 1978 druga konferencja odbyła się w Gołuniu nad jeziorem Wdzydze, a zorganizował ją Instytut Maszyn Przepływowych PAN w Gdańsku. W tamtych czasach numeryczne metody analizy konstrukcji powłokowych zaczynały dopiero swój rozwój w Polsce. Wygłoszono wówczas 6 referatów problemowych i 45 referatów plenarnych, autorów krajowych; nie uczestniczyli w niej goście z zagranicy, a obrady toczyły się wyłącznie w języku polskim. Ówcześnie była to jedna z większych polskich konferencji naukowych. Tegoroczna konferencja pozwala więc ocenić dystans, jaki został przebyty w ciągu tych dwudziestu lat. W trakcie jej obrad wygłoszono 8 referatów generalnych i 36 referatów sesyjnych oraz zaprezentowano 52 prace w formie plakatowej. Pomimo tego, że językami konferencji były języki angielski i polski, w prezentacjach dominował język angielski.

Otwarcia konferencji dokonał przewodniczący Komitetu Naukowego prof. Wojciech Pietraszkiewicz (IMP PAN Gdańsk), życząc wszystkim uczestnikom owocnych obrad. Następnie pierwszy referat programowy wygłosił prof. James G. Simmonds (University of Virginia, USA, fot. 1) światowy autorytet w dziedzinie teorii i analitycznych obliczeń powłok. Przedstawił on zasadnicze kierunki w rozwoju teorii powłok w końcu dwudziestego wieku. Jako drugi referent generalny głos zabrał prof. Czesław Woźniak (PCz Częstochowa). Tematem jego wystąpienia były dynamiczne zagadnienia powłok.

Ze względu na znaczną liczbę zgłoszonych referatów, obrady toczyły się w dwóch sesjach. W pierwszej prezentowano referaty o tematyce ogólnej. 15-minutowe wystąpienia obok prezentacji obejmowały odpowiedzi na pytania. Równolegle prezentowano referaty o tematyce szczegółowej. W tym przypadku po 5-minutowym przedstawieniu tematów prowadzano swobodną dyskusję z autorami przy plakatach. Nawiązane w trakcie takich prezentacji dyskusje z reguły przenosiły się do kuluarów.

W części popołudniowej zaprezentowane zostały dwa referaty: generalny, opracowany przez dr. Jerzego Makowskiego (Ruhr-Universität Bochum, Germany) i dr. Jacka Chróścielewskiego (PG Gdańsk) oraz referat sponsorowany (Arot Via Polska) przygotowany przez dr. Jana Vaslestada i dr. Adama Wysokowskiego. Rozważania teoretyczne i zagadnienia numeryczne przedstawione w referacie pierwszym dopełnione zostały praktycznym podejściem do zagadnień konstrukcji powłokowych w budownictwie. Po tych referatach ponownie odbyły się dwie równoległe sesje - referatów wygłaszanych i plakatowa.

SSTA The 6th Conference-98

Bogaty w wydarzenia dzień zakończyła uroczysta kolacja, w czasie której do późnych godzin nocnych

Tabela 1

Kraj	Liczba uczestników
Austria	1
Belgia	2
Francja	3
Holandia	1
Japonia	1
Kanada	2
Litwa	4
Niemcy	7
Polska	131
Rosja	6
Ukraina	5
USA	2
Węgry	2
Włochy	3
Razem	**170**
(w tym z zagranicy)	**(39)**

Tabela 2

	Sesja	Prowadzący
Poniedziałek	M1 + M2	Prof. Wojciech Pietraszkiewicz (Instytut Maszyn Przepływowych PAN, Gdańsk)
	M3A	Prof. Czesław Woźniak (Politechnika Częstochowska)
	M3B	Prof. Guy Guerlement (Faculte Polytechnique de Mons - Belgia)
	M4	Prof. James G. Simmonds (University of Virginia - Stany Zjednoczone Ameryki Północnej)
	M5A	Prof. Antonio Di Carlo (University "Roma Tre" - Włochy)
	M5B	Prof. Johann Arbocz (Delft University of Technology - Holandia)
Wtorek	T12	Prof. Zenon Waszczyszyn (Politechnika Krakowska)
	T2A	Dr Czesław Branicki (Politechnika Gdańska)
	T2B	Dr hab. Janusz Badur (Instytut Maszyn Przepływowych PAN, Gdańsk)
	T3A	Dr hab. Tomasz Lewiński (Politechnika Warszawska)
	T3B	Prof. Katarzyna Kowal-Michalska (Politechnika Łódzka)
	T4	Prof. Czesław Szymczak (Politechnika Gdańska)
	T5A	Prof. Andrzej Blinowski (IPPT PAN, Warszawa i Wyższa Szkoła Pedagogiczna w Olsztynie)
	T5B	Prof. Tadeusz Chmielewski (Politechnika Opolska)
Środa	W1	Prof. Klaus Hackl (Technical University of Graz - Austria)
	W2A	Prof. Helmut Stumpf (Ruhr-Universität Bochum - Niemcy)
	W2B	Prof. Peter G. Glockner (University of Calgary - Kanada)
	W3	Prof. Dieter Weichert (Institut für Allgemeine Mechanik RWTH Aachen - Niemcy)

dyskutowano (fot. 2) przy muzyce profesjonalnego zespołu jazzowego Bryza z Ukrainy.

W drugim dniu konferencji, problemowo ukierunkowanym na zagadnienia związane z praktyką, uczestnicy mieli okazję wysłuchania trzech referatów generalnych. Dwa, poświęcone problematyce numerycznego obliczania konstrukcji powłokowych, prezentowali: prof. Johann Arbocz (Delft University of Technology, the Netherlands) i dr Leszek Konieczny (CTO Gdańsk). W trzecim referacie generalnym swoim doświadczeniem z zakresu napraw i remontów metalowych zbiorników na ciecze o pojemności do 50 000 m^3 podzielił się prof. Jerzy Ziółko (PG Gdańsk, fot. 3), największy krajowy autorytet w tej dziedzinie. Wygłoszono także referat sponsorowany (Rafineria Gdańska S.A.) autorstwa mgr. inż. Tomasza Branickiego i mgr. inż. Stanisława Szarugi. Tego dnia odbyły się także po trzy równoległe sesje referatów wygłaszanych i plakatowych.

W tym dniu osoby towarzyszące i część zagranicznych uczestników konferencji wzięli udział w wycieczce do Gdańska. Jej uczestnicy odwiedzili Politechnikę Gdańską, zwiedzili Gdańską Starówkę oraz Katedrę w Oliwie.

Dzień zakończył się bankietem, po którym przysłuchiwano się znakomitej muzyce zespołu Detko Band z Trójmiasta, a wiele uczestniczek i uczestników konferencji miało szansę zaprezentowania swoich umiejętności tanecznych.

Ostatni, trzeci dzień konferencji, upłynął głównie pod znakiem zagadnień teoretycznych i numerycznych. Odczyty generalne, omawiające zagadnienia plastyczne w teorii powłok, zaprezentowali: prof. Helmut Stumpf (Ruhr-Universität Bochum, Germany) i prof. Dieter Weichert (Institut für Allgemeine Mechanik RWTH Aachen, Germany). Ponadto odbyły się równoległe sesje referatów wygłaszanych i plakatowa, po których kończący część merytoryczną referat, na temat dużych obrotów w teorii powłok, wygłosił prof. Wojciech Pietraszkiewicz (IMP PAN Gdańsk).

Podsumowania i zamknięcia konferencji dokonał przewodniczący Komitetu Naukowego prof. Wojciech Pietraszkiewicz. Podziękował uczestnikom za prezentacje i żywą dyskusję, referentom generalnym za przygotowanie ciekawych wystąpień oraz sponsorom za wsparcie organizacji konferencji.

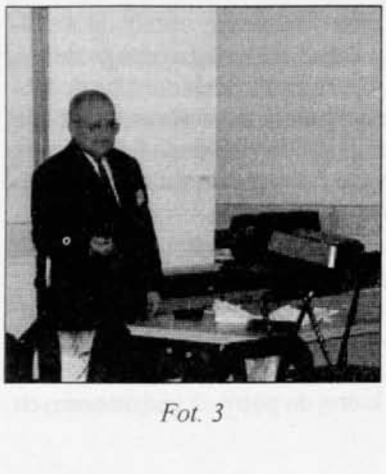
Szeroki udział wybitnych specjalistów z zagranicy i znaczna liczba referatów wygłoszonych podczas VI Konferencji "Konstrukcje Powłokowe, Teoria i Zastosowania" wskazują na ciągły rozwój teorii, metod projektowania i wykonawstwa konstrukcji powłokowych.

Na wspólnym posiedzeniu Komitetu Naukowego i Komitetu Organizacyjnego po zakończeniu konferencji, zgodnie z sugestią wielu uczestników, wskazano na potrzebę zorganizowania kolejnej konferencji o tematyce powłokowej, być może nawet konferencji w pełni międzynarodowej.

W tym miejscu dziękujemy bardzo panu prof. Rościsławowi Tribiłło (PB Białystok) i panu prof. Jerzemu Ziółko (PG Gdańsk) za szczególną pomoc przy organizacji konferencji.

Dziękujemy także panu Adamowi Krupie, dyrektorowi hotelu Neptun w Juracie, w którym odbywała się konferencja, za gościnność, a całemu personelowi hotelu za profesjonalną obsługę.

Marek Jasina, Paweł Kłosowski
Wydział Budownictwa Lądowego



Fot. 3

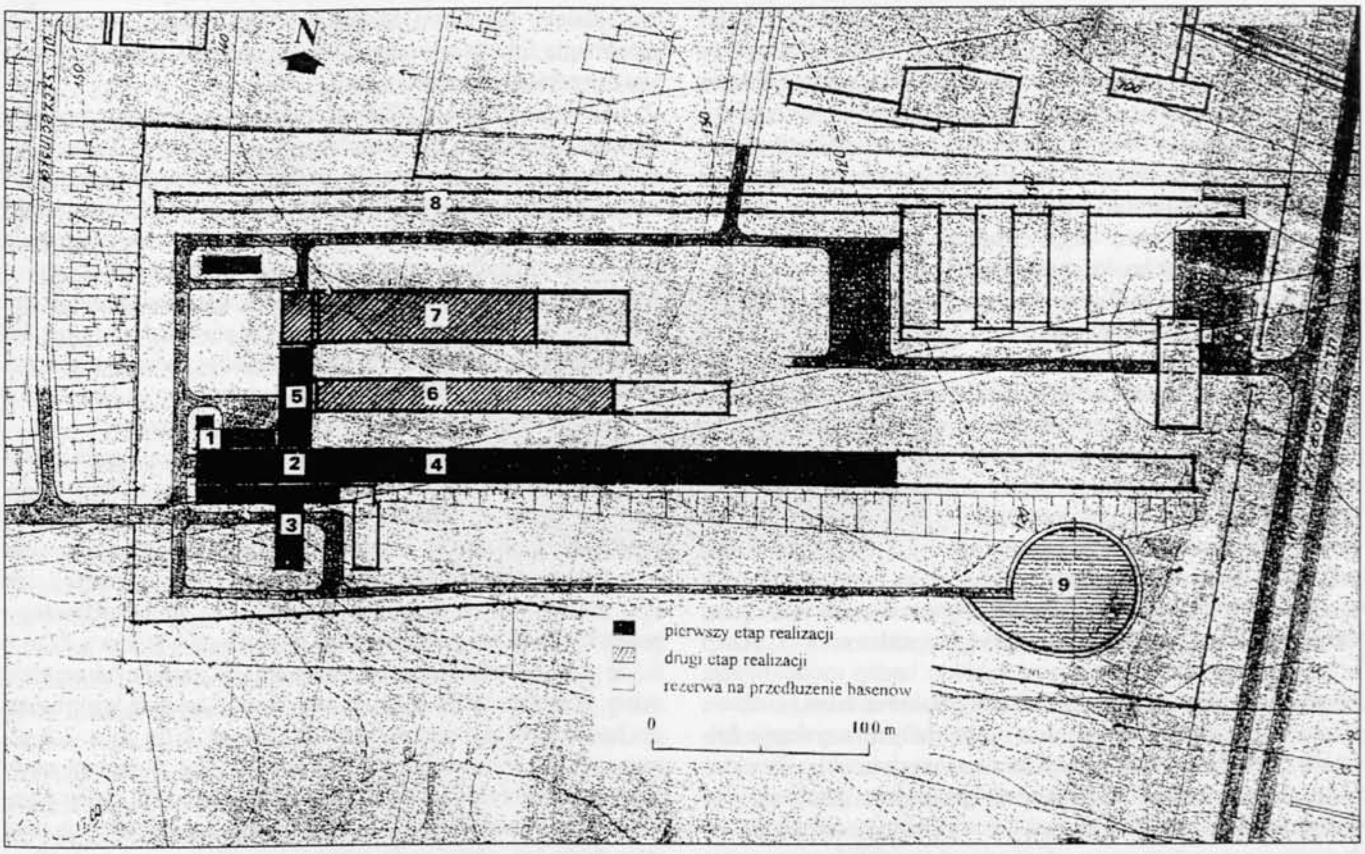


Fot. 2



Fot. 1

Kilka słów na temat Ośrodka Hydromechaniki Okrętu CTO w Oliwie



Ośrodek Hydromechaniki CTO w Oliwie wg projektu wstępnego:
1 - warsztat mechaniczny, 2 - warsztat modeli kadłubów, 3 - budynek biurowy, 4 - basen głębokawodny 260 m x 12 m x 6,3 m, 5 - basen pomocniczy 60 m x 7 m x 2,4 m, 6 - basen płytkowodny 120 m x 12 m x 2,3 m, 7 - basen właściwości morskich 100 m x 25 m x 2,8m, 8 - basen dużych prędkości ok. 300 m długości, 9 - staw do manewrowania 80 m x 40 m. Pierwszy etap inwestycji (obiekty zaczernione) został zrealizowany do 1975 r.

Przeglądając ostatni rocznik pisma "*Budownictwo Okrętowe i Gospodarka Morska*", natrafiłem na reportaż redaktora Mariana Henslera z uroczystości wodowania pięćsetnego modelu kadłuba okrętu w basenach doświadczalnych Ośrodka Hydromechaniki Okrętu Centrum Techniki Okrętowej (październik 1997 r.).

Wiadomości o tym wydarzeniu nie mogłem przyjąć obojętnie, ponieważ przed wielu laty miałem okazję kierować pracami nad projektem tego Ośrodka jako generalny projektant, zdobyć dla niego lokalizację i następnie doczekać się realizacji inwestycji, co jest wielką satysfakcją dla inżyniera. Bliższe informacje na ten temat przedstawiłem w artykule pt. "Z historii hydromechaniki okrętu w Polsce" - Zeszyty Problemowe Centrum Techniki Okrętowej, Gdańsk, sierpień 1997 r. Ponieważ wydawnictwo to jest trudno dostępne, postanowiłem zamieścić w "Piśmie PG" trochę informacji dotyczących projektu Ośrodka Hydromechaniki Okrętu w Oliwie, czyli laboratorium okrętowych badań modelowych.

Prace, które po latach doprowadziły do powstania Ośrodka, rozpoczęte zostały na początku lat pięćdziesiątych w Zakładzie Żeglugi Morskiego Instytutu Technicznego, późniejszego Instytutu Morskiego. Początkowo polegały one na zapoznaniu się z zagadnieniem laboratoriów okrętowych badań modelowych, gromadzeniem literatury przedmiotu; następnie opracowano kilka koncepcji laboratorium. Prowadzono też starania o osobiste zapoznanie się z zagranicznymi zakładami okrętowych badań modelowych. Nie było to wówczas łatwe. Uzyskanie zgody na wyjazd na Zachód nie wchodził w rachubę. Zakłady w Związku Radzieckim były objęte ścisłą tajemnicą, a laboratoria tego typu w Europie Wschodniej jeszcze nie istniały. Ostatecznie w 1954 r. udało się Ksaweremu Nienartowiczowi i Stanisławowi Mętlewiczowi zwiedzić, bardzo już przestarzały, basen doświadczalny w Wiedniu. Przełom w tej dziedzinie nastąpił dopiero po zmianach, jakie miały miejsce w 1956 r. Wtedy to Stanisław Mętlewicz i niżej podpisany mogli, w czasie miesięcznego pobytu, zapoznać z Centralnym Naukowo-Doświadczalnym Instytutem im. A. N. Kryłowa w Leningradzie. Trudno zrozumieć, jak mogło do tego dojść, może był to skutek niedawnego "XX Zjazdu" - ponieważ ten największy w Europie zakład okrętowych badań modelowych, wyposażony między innymi w basen o długości 480 m, pracował niemal wyłącznie dla potrzeb marynarki wojennej i był dotąd całkowicie niedostępny. Nawet pracownicy Leningardzkiego Instytutu Budowy Okrętów dopiero w naszym towarzystwie pierwszy raz przekroczyli wysokie mury otaczające laboratorium, gdzie nawet wewnątrz niektóre stanowiska były otoczone stalowymi ściankami i wstępu do nich strzegły uzbrojone wartowniczki. W rok później, niespodziewanie uzyskałem stypendium ONZ na wyjazd do Francji w celu zapoznania się z laboratorium paryskim - *Bassin d'Essais des Carenes*, należącym do *Marine Nationale.*

Tym razem oficjalnym celem wyjazdu było zebranie informacji do wykorzystania przy projektowaniu polskiego ośrodka okrętowych badań modelowych. Zakład paryski był wyposażony między innymi w trzy duże baseny holownicze, z których największy (220 m x 13 m x 4 m) właśnie oddawano do użytku. W czasie półrocznego pobytu udało mi się zdobyć naprawdę bardzo dużo cennych materiałów. Przy okazji mogłem również zwiedzić brytyjskie zakłady należące do *National Physical Laboratory* w Teddington i w Feltham. Zakład w Feltham, właśnie uruchamiany, dysponował basenem o wymiarach 397 m x 14,6 m x 7,6 m oraz ogromnym tunelem hydrodynamicznym, którego dolny odcinek zagłębiony był na ok. 55 m poniżej poziomu gruntu.

Po moim powrocie w 1955 r. Pracownia Badań Modelowych w Instytucie Morskim, której byłem kierownikiem, została zlikwidowana, a jej zespół przeniesiony służbowa do Centralnego Biura Konstrukcji Okrętowych nr 1, gdzie utworzony został Zespół Hydromechaniki Okrętu. Dyrektor CBKO, inż. Wojciech Orszulok, zaproponował mi objęcie kierownictwa Zespołu oraz przygotowanie materiałów umożliwiających zlecenie projektu Zakładu Okrętowych Badań Modelowych - taka była wówczas robocza nazwa dzisiejszego Ośrodka w Oliwie - odpowiedniemu biuru projektów. Z pierwszej propozycji zrezygnowałem, i stanowisko to objął - dziś już nieżyjący - mój przyjaciel Stanisław Mętlewicz. Jeszcze w tym samym roku miałem możność wzięcia udziału w "*Symposium on the Towing Tank Facilities*" w Zagrzebiu, jakie zorganizowano z okazji oddania do użytku tamtejszego zakładu badań modelowych. Bogate wyposażenie jugosłowiańskiego laboratorium i ciekawe referaty uczestników sympozjum umożliwiły mi uzyskanie dalszych materiałów. Przy okazji nawiązałem kontakt z dyrektorem laboratorium w Kopenhadze, profesorem Prohaską, co pozwoliło Stanisławowi Mętlewiczowi i niżej podpisanemu na zapoznanie się z tym nowo uruchomionym zakładem, wyposażonym w basen holowniczy bardzo ciekawej konstrukcji, zaprojektowanym i wybudowanym przez przedsiębiorstwo Hojgaard and Schultz, to samo, które w latach dwudziestych budowało port w Gdyni. Ogromna fotografia budującego się portu gdyńskiego wisiała nadal nad biurkiem dyrektora przedsiębiorstwa. Przy okazji zrobiliśmy krótki wypad do pobliskiego zakładu badań modelowych SSPA w Göteborgu w Szwecji oraz przeprowadziliśmy rozeznanie co do możliwości zakupu wyposażenia specjalistycznego dla przyszłego zakładu w Gdańsku. W jakiś czas później, w tym samym składzie, zwiedziliśmy laboratoria w Berlinie i w Rostocku.

W ten sposób zgromadziliśmy wielką liczbę informacji, rysunków, fotografii itp., które opracowałem w formie "Materiałów do projektu Zakładu Okrętowych Badań Modelowych". Następnie wykonałem uaktualnione założenia zakładu. Jednocześnie prowadziliśmy starania o uzyskanie odpowiedniej lokalizacji. Nie było to wcale łatwe, ponieważ ze względów technologicznych niezbędne było posadowienie długich i ciężkich basenów na gruncie nośnym i jednocześnie jednorodnym na całej długości, tak aby w czasie eksploatacji nie nastąpiły odkształcenia powierzchni nośnych torów mostów holowniczych. Pierwsza lokalizacja w Złotej Karczmie - jak wykazały próbne wiercenia - okazała się nieodpowiednia. Zaczęliśmy szukać nowej. Zależało mi bardzo na uzyskaniu lokalizacji na terenie obecnego Przymorza, gdzie, jak wynikało z dostępnych materiałów - co potwierdziły późniejsze wiercenia - zalegały utwory piaszczysto-żwirowe do głębokości ok. 10 m. Uzyskanie zgody na tę lokalizację zawdzięczamy poparciu mojego dobrego znajomego, prof. Wacława Tomaszewskiego, kierownika Katedry Portów i Przymorza Politechniki Gdańskiej. Mogłem wówczas osobiście, na wielkiej i tajnej mapie, przedłożonej mi w Wydziale Architektury i Budownictwa PMRN w Gdańsku, naszkicować zarys działki o odpowiednim kształcie i wielkości. Chodziło bowiem o to, aby - ze względu na oświetlenie - basen głębokowodny był położony równoleżnikowo. Dzięki staraniom Stanisława Mętlewicza, formalności przyznania lokalizacji (teren, jak się okazało, należał do wojska), przebiegły bardzo szybko.

W końcu 1960 r. CBKO nr 1 zleciło wykonanie projektu Przedsiębiorstwu Projektowania i Budowy "Prozamet" w Gdańsku, które podjęło się zadania pod warunkiem dostarczenia projektanta-technologa. Wówczas dyr. Orszulok polecił mi przenieść się na pół etatu do "Prozametu", w celu wykonania projektów technologicznych. Natomiast w "Prozamecie" zaproponowano mi objęcie dodatkowo obowiązków generalnego projektanta inwestycji. Zgodziłem się chętnie, ponieważ od dawna miałem nadzieję, że będę mógł kiedyś zaprojektować ten ciekawy obiekt. Obowiązki te pełniłem przez trzy lata, to jest do czasu, kiedy prace projektowe zostały przerwane.

Zgodnie z przepisami wykonałem najpierw założenia techniczno-ekonomiczne, a następnie projekt wstępny - technologiczny. Ten etap uważam za bardzo istotny, ponieważ należało opracować plan ogólny zakładu w taki sposób, aby laboratorium było funkcjonalne zarówno w pierwszym etapie inwestycji, jak i by umożliwiał on dalszą rozbudowę. Dla etapu pierwszego przewidziałem basen holowniczy o wymiarach 260 m x 12 m x 6,3 m wraz z warsztatami i pracowniami. W następnych etapach miały powstać: tunel hydrodynamiczny (kawitacyjny), basen do badania właściwości morskich 100 m x 25 m x 2,8 m, wyposażony w wywoływacze fal pozwalające na wytwarzanie fal pod dowolnym kątem do holowanego modelu, basen płytkowodny 120 m x 12 m x 1,3 m z regulowaną głębokością oraz staw do badań właściwości manewrowych o wymiarach 80 m x 50 m x 4 m. Przewidziana została również możliwość przedłużenia basenów, jak również zarezerwowano teren na ewentualną budowę kilkusetmetrowego basenu do badań jednostek szybkich.

Na podstawie tego projektu, inwestor zlecił wykonanie projektów wstępnych architektoniczno-budowlanych przedsiębiorstwom "Prozamet" w Gdańsku i "Miastoprojekt" w Warszawie, w formie zamkniętego konkursu. Sędzią konkursowym był prof. inż. arch. Włodzimierz Prochaska z Politechniki Gdańskiej. Ostatecznie wybrany został projekt "Prozametu" autorstwa inż. J. Dembka i inż. arch. J. Wierzbickiego.

Teraz mogłem przystąpić do opracowania projektów techniczno-technologicznych poszczególnych obiektów pierwszego etapu inwestycji. Ukończyłem je w marcu 1962 r., co pozwoliło na wykonanie projektów branżowych w poszczególnych pracowniach "Prozametu". Wszystkie projekty techniczne, a było ich już kilkanaście tomów, zostały zatwierdzone w grudniu 1963 r., kiedy to niespodziewanie w Zjednoczeniu Przemysłu Okrętowego zapadła decyzja, że inwestycja nie będzie realizowana. Prace w "Prozamecie" przerwano, powróciłem do Zespołu Hydromechaniki Okrętu CBKO nr 1, a po roku przeniosłem się ostatecznie do Instytutu Okrętowego PG. A kiedy po kilku latach decyzje ponownie zmieniono, ostatnią fazą projektu, czyli sporządzaniem rysunków wykonawczych, kierował już mój następca w "Prozamecie". Rysunki te jednak nie wniosły nic nowego w stosunku do projektu technicznego. Cdn.

Andrzej Jarosz
Wydział Oceanotechniki i Okrętownictwa

Teoria i praktyka we współczesnej pedagogice architektonicznej

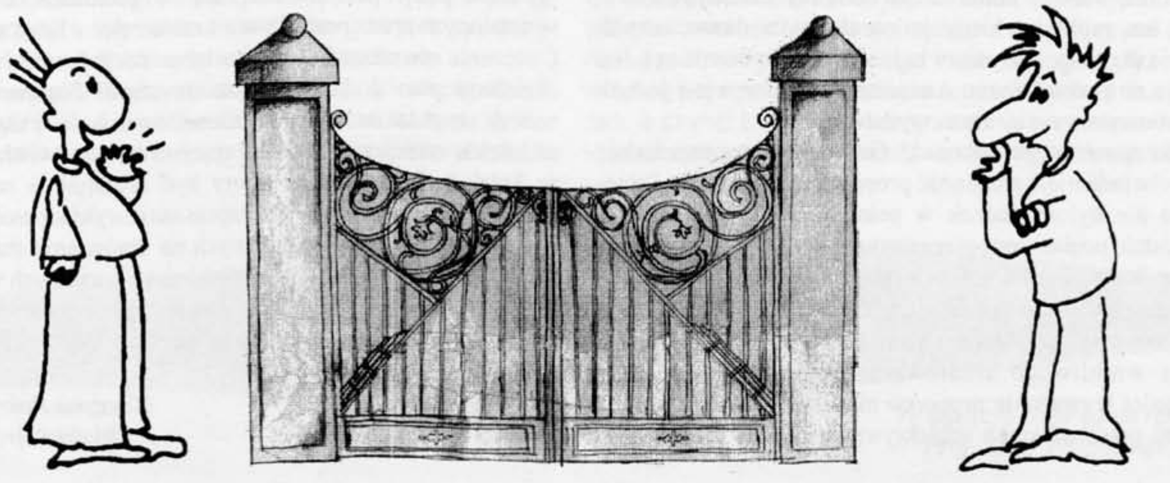
Zamiast wstępu - cytat z dzieła prof. Juliusza Żurawskiego ("O budowie formy architektonicznej" wyd. Arkady, W-wa 1976, s. 132) "*... w każdej kreślarni wszystkich szkół architektonicznych, w każdej pracowni, powinno na widocznym miejscu rzucać się w oczy przykazanie ważne we wszystkich chwilach życia architekta: Im więcej słusznych doznań, tym słuszniejsza twórczość! Stały i głęboki kontakt z życiem, to materiał naszej twórczości*".



Przywołałam tak długi cytat, ponieważ uważam, że po wielu latach od ich napisania życie wykazało, że myśli te są wciąż żywe, żarliwe w swej pasji przekonywania o potrzebie ochrony własnej wrażliwości i dbałości o jakość doznań. W nauczaniu architektury istotne jest kształtowanie u studentów tego typu wrażliwości, przygotowanie do pełnienia zawodu architekta zależy bowiem w oczywisty sposób od tego, jak rozumie się sens i cel istnienia tego zawodu. W nauczaniu architektury można odróżnić kilka grup zagadnień, z którymi student w czasie studiów musi się zapoznać, kilka grup sprawności, które musi posiąść. Tak więc, jeżeli student ma stać się autentycznym architektem, musi uzyskać przynajmniej początki sprawności w operowaniu rzemiosłem projektowym, na które składa się: znajomość konstrukcji budowlanych i umiejętność wyboru metody budowy najefektywniejszej dla rozwiązywanego zadania, znajomość problemów funkcjonalnych, umiejętność właściwego kojarzenia elementów programowych w projektowanej budowli, umiejętność właściwego usytuowania budowli w stosunku do jej otoczenia naturalnego i sztucznego. Musi również posiąść umiejętność czytelnego i jasnego przekazania swoich zamierzeń projektowych poprzez rysunek, model i opis. To, co uczelnia może mu w tym zakresie przekazać, stanowi jednak zaledwie podstawę dla dalszego rozbudowywania i uzupełniania wiedzy, które trwają do końca działalności zawodowej. Dalej - student musi wyrobić w sobie wrażliwość plastyczną i nauczyć się operowania kształtem, proporcjami, skalą, barwą w taki sposób, żeby zaproponowana budowla stanowiła jednorodną, harmonijną całość, zgodną z intencją autora - żeby nie była tylko wypadkową różnych czynników, ale rezultatem świadomego, twórczego działania. Również i tu uczelnia jest w stanie dać jedynie podstawy, pokazać możliwość i wskazać kierunki poszukiwań, które muszą rozwijać się przez całe życie. Ale wszystko to stanowi właściwie tylko niezbędną podstawę rzemieślniczej strony projektowania. Rzemiosło to bowiem może być dalej użytkowane w różny sposób i w rozmaitych celach. Sprawą uczelni jest wskazanie tej różnorodności celów, a sprawą nauczającego - przedstawienie tych racji, które powodują, że jego własny wybór celów jest uzasadniony i słuszny. Poglądy na rolę i miejsce architektury bywały i są nadal dość zróżnicowane. Historycznie rzecz biorąc, architektura najczęściej bywała traktowana jako instrument nadawania wartości prestiżowo-reprezentacyjnych budowlom o szczególnym znaczeniu. Rozwój myśli architektonicznej był utożsamiany z rozwojem form budynków reprezentacyjnych, służących religii i władzy, i wyznaczany przez dzieła najdoskonalsze, "słupy milowe architektury".

W ostatnich czasach pojawia się jednak podejście odmienne, traktujące architekturę jako sztukę kształtowania nie budowli, lecz całego przestrzennego środowiska człowieka. Mimo że różnica tych dwóch sposobów rozumienia architektury zdawać by się mogła niewielka - bo polega tylko na skali i zakresie zainteresowań - przecież stanowi ona o głęboko odmiennych postawach zawodowych architektów. Polega na przesunięciu zainteresowania architekta, który przyjmuje ten drugi sposób traktowania architektury, ze spraw związanych z projektowaniem budowli unikatowych na problematykę budownictwa powszechnego i urbanistyki. Dzieje się tak dlatego, że rozwiązania tych właśnie dziedzin najsilniej wpływają na charakter i **wartość środowiska pojętego jako całość**; wiąże się to również z postawami egalitarnymi - środowisko służy całemu społeczeństwu, a nie tylko jego części, podobnie jak budowle o unikatowym charakterze.

Postawy wynikające z takiego ujęcia celów i sensu architektury muszą w większym stopniu niż w przypadku postaw tradycyjnych uwzględniać zależności formy architektonicznej od realiów, takich jak: efektywne metody budowania, charakter



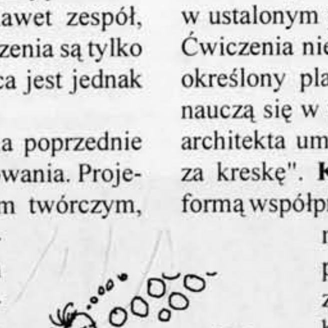
potrzeb i efektywność użytkowa oraz podporządkowanie budowli warunkom sytuacyjnym. Słowo "postawa" oznacza przede wszystkim rezultat oceny poszczególnych czynników, wpływających na kształtowanie budowli czy ich zespołu, przekonanie, że jedne z nich są ważniejsze od innych. Jeżeli pojmować architekturę jako sztukę kształtowania środowiska, to podstawę do oceny wartości dzieła tworzy przede wszystkim relacja między tym dziełem a jego kontekstem przestrzennym, kulturowym i społecznym, oraz przekonanie, że wszyscy twórcy wnoszą w gruncie rzeczy wkład w jedno dzieło i ich praca musi być oceniania właśnie z punktu widzenia dobra tegoż dzieła zbiorowego.

Szkoły architektoniczne, które zdobywały jakieś szersze uznanie (takie jak na przykład Bauhaus), zawdzięczały swoje znaczenie temu, że ich twórcy rozumieli miejsce architekta w społeczeństwie i jego rolę w sposób odmienny od powszechnie uznawanych zasad. Podobnie podstawę metod nauczania "mistrzów" architektury, takich jak Frank Lloyd Wright, a u nas Romuald Gutt czy Bohdan Pniewski, stanowił właśnie ich indywidualny stosunek nie do nauczania, lecz do architektury w ogóle, do jej funkcji społecznej. Stosunek niekoniecznie formułowany w słowach (tak jak to było w Bauhausie), ale przecież wyrażający się w całej własnej działalności zawodowej.



Koncentrowanie uwagi na budownictwie powszechnym, o którym była mowa uprzednio, nie oznacza wcale deprecjonowania roli budowli użytkowych. Przeciwnie, ich rola w tworzeniu przestrzennego środowiska jest przecież ogromna. Ale i ich wartość musi być rozpatrywana zawsze w ich pełnym społecznym, kulturowym i przestrzennym kontekście. Przedstawiona postawa to zatem nie sprawa wyboru zadań, lecz sprawa podejścia do każdego zadania jako do elementu większej całości. Doprowadzenie do świadomości studenta architektury tych dość prostych prawd jest - jak sądzę - jednym z podstawowych zadań w nauczaniu projektowania architektonicznego, zadań nie mniej istotnych niż nauczanie rzemiosła, wyrobienie wrażliwości, umiejętności dokonywania samodzielnych syntez projektowych. Może być również podstawą do pewnej skromności w eksponowaniu własnej osoby i do odporności na często zmieniające się i używające coraz to nowych nazw mody. Architektura bez architektów, ludowa, na ogół bezbłędnie dopasowuje odpowiedź projektową (realizacyjną) do potrzeb użytkownika. Ten, kto buduje dla siebie, wie najlepiej, co jest mu potrzebne, i w zależności od możliwości i umiejętności powstaje dzieło (obiekt) mniej lub bardziej udane, ale adresowane do konkretnego odbiorcy. Inaczej przedstawia się ten problem, kiedy jedna osoba, a nawet zespół, projektuje dla setek, a i tysięcy ludzi, których życzenia są tylko w zarysie do przewidzenia. Anonimowy odbiorca jest jednak mniej anonimowy niżby się to wydawało.

W jaki sposób tego dokonać? Odpowiedzi na poprzednie pytania uświadamiają złożoność procesu projektowania. Projektowanie nie byłoby jednak w pełni działaniem twórczym, gdyby zostało pozbawione pierwiastka osobowości autora. Poszukiwanie nowych dróg rozwiązań nie powinno być wyłącznie dziełem fantazji. Chodzi tu o twórczość popartą szeroką wiedzą wynikającą z wnikliwego studiowania problemu umiejętności wyważania proporcji między obiektywnymi przesłankami a subiektywnym odczuciem. Oznacza to umiejętność obserwacji, wyciągania wniosków i stawiania dalszych pytań: jak sprostać zmieniającym się potrzebom i upodobaniom, gdzie tkwi błąd w dotychczasowych znanych i krytykowanych dokonaniach, co należałoby zaproponować, aby usunąć zauważone nieprawidłowości itd. Tak pojęta nauka myślenia winna dać podstawy dla późniejszej działalności praktycznej, aby ta stała się rzeczywistą twórczością, wkładem w rozwój myśli i budowania kultury. Bez dogmatów.



Po pierwsze: rzeczywista wiedza adepta architektury zależy wprost od samodyscypliny i samowiedzy absolwenta, a początek jej bierze się z ćwiczeń myślenia o budowie formy architektonicznej. Tak więc teoria i praktyka muszą stale pozostawać we wzajemnych relacjach dynamicznej równowagi.

Po drugie: ponieważ osaczenie młodego człowieka, który kończy studia architektoniczne, jest wielkie i stwarza niebezpieczeństwo "zmanierowania" u progu kariery zawodowej, to staje się jasne, że właściwe proporcje pomiędzy ładunkiem teorii i praktyki muszą być przedmiotem nieustannych przystosowawczych działań na wydziałach architektury

Po trzecie: tylko i wyłącznie indywidualny wysiłek własny nauczycieli i uczniów daje efekt w postaci "otwartej głowy" - zawodowca, czyli architekta myślącego. Praktyka zawodowa podjęta po studiach "bez obciążeń" dogmatami wyniesionymi z uczelni prowadzi do efektywnego uprawniania zawodu z pożytkiem przede wszystkim dla klienta, czyli nas wszystkich. Młody architekt radzi sobie sam z problemem świadomego wyboru formy, elementów konstrukcji oraz detalu architektonicznego.

Wobec ogromu przedstawionych "pobożnych życzeń" pod adresem grona dydaktycznego, które oprócz powinności tworzenia konkretnego programu i skutecznego "biznesplanu" ma za zadanie czuwać nad strategią rozwoju studenta, powstaje pytanie: kto podoła takim obowiązkom, zarazem jednak nie rezygnując z własnej pracy w zawodzie? Odpowiedź brzmi - nie wiem. Najbardziej racjonalny wydaje się system stałego szlifowania metod programu nauczania na bazie kompetencji grona dydaktyków; w tym przypadku doświadczenia mają szansę sumować się. Odpowiedzialność za poziom technicznej wiedzy absolwenta winna być ponad ambicją nauczyciela. Skromność zawodowa musi być tak ważna, jak zaciętość i otwartość na zmiany - na obu biegunach procesu dydaktycznego przepływ energii oparty powinien być na stałym samokształceniu ucznia i nauczyciela. Bez tego model programowy pozostaje martwy. Niezwykle ważna jest tu filozofia bycia całą dobę architektem. Architekt - wykładowca nie może pozwolić sobie na pracę "w godzinach od ... do...", w ustalonym przez pracodawcę czasie zajęć - **liczy się dzieło.** Ćwiczenia nie mogą być prowadzone tak tylko, aby wykonać określony plan godzinowy, szkoda czasu! Studenci zaś nie nauczą się w takim wypadku niezmiernie ważnej dla każdego architekta umiejętności, którą nazywam "odpowiedzialnością za kreskę". **Konsultacje** winny być szczególnie szanowaną formą współpracy; natomiast zapraszanie wykładowców przedmiotów technicznych na omówienia studenckich projektów w czasie klauzur kursowych wciąż pozostaje niedostatecznie wykorzystanym sposobem prowadzenia zajęć. Cdn.

Krystyna Pokrzywnicka
Wydział Architektury

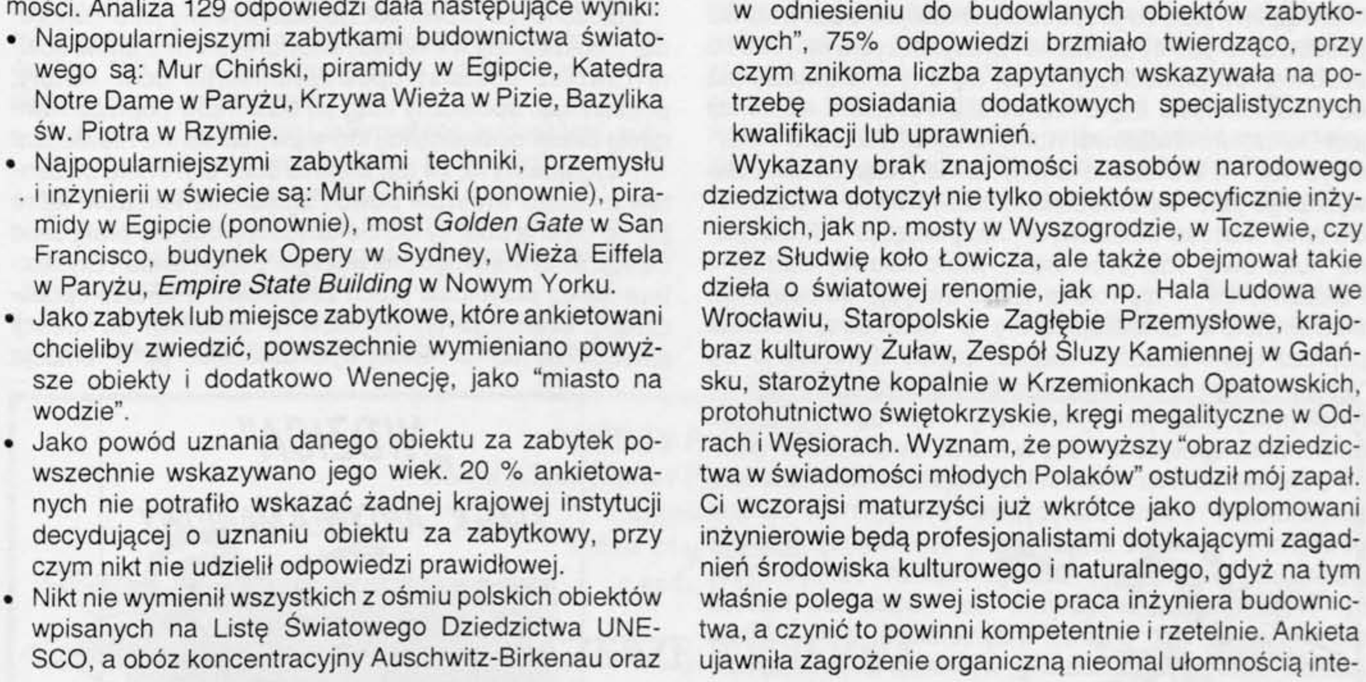
ZZ KONTRA ZZZ

Ten wrześniowy poranek był nad podziw ciepły. W Wawelskiej Katedrze, o porze zbyt wczesnej dla turystów, dźwięczały jedynie kroki kobiecin drepczących po wilgotnej posadzce. Pośród mgiełek, ulotnych jak przywidzenie, woń kadzideł mieszała się z zapachem jesiennych lilii. Aura ta towarzyszyła i mnie, gdy schodziłem po wciąż jeszcze pustym podjeździe, a nawet dalej, przez Kanoniczą, aż na Plac św. Marii Magdaleny. Tu czar prysnął. U wejścia do kościoła pw. Świętych Piotra i Pawła widniał znieruchomiały tłumek. Wpierw pomyślałem, że to plan filmowy, ale - nie dostrzegając ekipy kamerzystów - podszedłem bliżej. Młodzież podpierała postumenty figur apostołów albo siedziała niedbale rozłożona na schodach. Dorodne dziewczyny typu dyskotekowego w ciężkim makijażu, chłopcy odziani markowo i zaczapkowani z daszkiem do tyłu, a wszyscy o twarzach bez wyrazu, jakby śledząc budzące się handlowe życie Grodzkiej. W tej martwocie jednak coś się działo. Młoda kobieta, wyglądająca nader skromnie w videoklipowym towarzystwie, mówiła i gestykulowała zwrócona ku fasadzie kościoła. Otaczały ją mrukliwe szepty, złośliwie komentujące "historyczno-sztuczną" narrację, jak to nazywa znajomy konserwator słownictwo historyków sztuki. Jakiś chłopak o wątłej posturze i zwyczajnie ubrany, zasłuchany jak w banalnym melodramacie, wodził wzrokiem za dłonią wskazującą coraz to inne detale architektoniczne. Poczułem sympatię i podziw dla tej zdeterminowanej nauczycielki, czy może przewodniczki, która dla jedynego słuchacza mężnie podtrzymywała kaganek oświaty. Oddalając się ku Rynkowi raz jeszcze spojrzałem na szeroki plan ponownie niemy i nieruchomy - młodzieżowy niby-gang ze skarbem kultury w tle - i... poczułem zadowolenie ze spełnionego obowiązku.

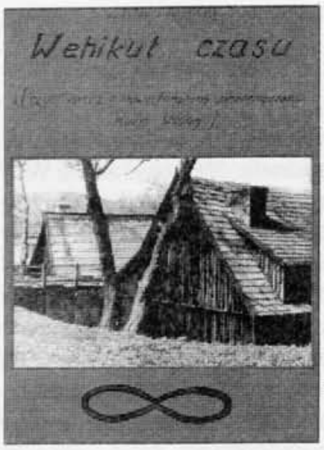
Otóż w minionym semestrze letnim po raz pierwszy studenci Wydziału Budownictwa Lądowego uczestniczyli w zajęciach z nowego przedmiotu poświęconego ochronie dziedzictwa kulturowego w budownictwie. Na wstępie zbadano za pomocą kwestionariusza zasób ich wiadomości. Analiza 129 odpowiedzi dała następujące wyniki:

- Najpopularniejszymi zabytkami budownictwa światowego są: Mur Chiński, piramidy w Egipcie, Katedra Notre Dame w Paryżu, Krzywa Wieża w Pizie, Bazylika św. Piotra w Rzymie.
- Najpopularniejszymi zabytkami techniki, przemysłu i inżynierii w świecie są: Mur Chiński (ponownie), piramidy w Egipcie (ponownie), most *Golden Gate* w San Francisco, budynek Opery w Sydney, Wieża Eiffela w Paryżu, *Empire State Building* w Nowym Yorku.
- Jako zabytek lub miejsce zabytkowe, które ankietowani chcieliby zwiedzić, powszechnie wymieniano powyższe obiekty i dodatkowo Wenecję, jako "miasto na wodzie".
- Jako powód uznania danego obiektu za zabytek powszechnie wskazywano jego wiek. 20 % ankietowanych nie potrafiło wskazać żadnej krajowej instytucji decydującej o uznaniu obiektu za zabytkowy, przy czym nikt nie udzielił odpowiedzi prawidłowej.
- Nikt nie wymienił wszystkich z ośmiu polskich obiektów wpisanych na Listę Światowego Dziedzictwa UNESCO, a obóz koncentracyjny Auschwitz-Birkenau oraz park narodowy Puszcza Białowieska w ogóle nie zostały wspomniane; 20% respondentów wymieniło Wawel, trochę mniej osób - Malbork, a 10 % - Toruń.
- Na pytanie, w którym należało wymienić 8 obiektów zabytkowych na terenie Polski wartych pokazania gościowi zagranicznemu, 50 % studentów wskazało nie więcej niż 7 obiektów, a 15 % - nie więcej niż 5.
- Na pytanie, w którym należało wymienić 8 obiektów zabytkowych w Trójmieście wartych pokazania gościowi zagranicznemu, 14 % studentów wskazało nie więcej niż 4 obiekty, a 60% - nie więcej niż 7.
- Za najbardziej godne uwagi zabytki polskie uznano w kolejności według ważności: Wawel, Zamek Krzyżacki w Malborku, Zamek Królewski w Warszawie, Łazienki Warszawskie, Kościół Mariacki w Krakowie, Starówkę Gdańską, Kościół NMP w Gdańsku.
- Na liście najważniejszych obiektów zabytkowych Trójmiasta znalazły się: Kościół NMP w Gdańsku, Katedra Oliwska, Droga Królewska i Dwór Artusa, Żuraw Gdański.
- 80 % ankietowanych nie kojarzyło z niczym terminu "dziedzictwo archeologiczne w krajobrazie", a 50 % wykazało brak znajomości jakiejkolwiek instytucji w Gdańsku, w której można dowiedzieć się czegoś o dziedzictwie archeologicznym; 50 % stwierdziło brak jakiegokolwiek związku pomiędzy wykonywaniem zawodu inżyniera budownictwa a archeologią.
- Na pytanie "czy inżynier może wykonywać swój zawód w odniesieniu do budowlanych obiektów zabytkowych", 75% odpowiedzi brzmiało twierdząco, przy czym znikoma liczba zapytanych wskazywała na potrzebę posiadania dodatkowych specjalistycznych kwalifikacji lub uprawnień.

Wykazany brak znajomości zasobów narodowego dziedzictwa dotyczył nie tylko obiektów specyficznie inżynierskich, jak np. mosty w Wyszogrodzie, w Tczewie, czy przez Słudwię koło Łowicza, ale także obejmował takie dzieła o światowej renomie, jak np. Hala Ludowa we Wrocławiu, Staropolskie Zagłębie Przemysłowe, krajobraz kulturowy Żuław, Zespół Śluzy Kamiennej w Gdańsku, starożytne kopalnie w Krzemionkach Opatowskich, protohutnictwo świętokrzyskie, kręgi megalityczne w Odrach i Węsiorach. Wyznam, że powyższy "obraz dziedzictwa w świadomości młodych Polaków" ostudził mój zapał. Ci wczorajsi maturzyści już wkrótce jako dyplomowani inżynierowie będą profesjonalistami dotykającymi zagadnień środowiska kulturowego i naturalnego, gdyż na tym właśnie polega w swej istocie praca inżyniera budownictwa, a czynić to powinni kompetentnie i rzetelnie. Ankieta ujawniła zagrożenie organiczną nieomal ułomnością inte-



Propozycja zegarka na rękę.
Proj. Artur Filipczyński





Album o Zabytkowej Kuźni Wodnej w Oliwie.
Proj. Żaneta Kot

Album o Zamku Malborskim.
Proj. Katarzyna Zwonaruk

lektualną, nabytą w szkole średniej, która niekoniecznie zostanie rozpoznana i poddana leczeniu na studiach, szczególnie w warunkach, w których muszą funkcjonować obecnie uczelnie wyższe. Wyniki ankiety sygnalizują niebezpieczeństwo wzrostu generacji, dla której dziedzictwo kulturowe to egzotyczne "hity" z turystycznych folderów, tym atrakcyjniejsze, im dalej położone od kraju ojczystego, gdyż tu, w Polsce, "może i coś jest, ale tak dokładnie to tego nie wiadomo", albo wprost "tu nic nie ma".

Oczywiście, można być cenionym i dobrze opłacanym inżynierem bez znajomości podstaw kulturoznawstwa, zabytkoznawstwa, czy konserwatorstwa. I po prawdzie maturzyści niekoniecznie muszą to wszystko znać, ale też i niewątpliwe jest, że propedeutyka dziejów budownictwa poszerza horyzonty poznania i predyspozycje zawodowe absolwentów politechniki. Mówi się o tym w świecie już od kilkudziesięciu lat, a najnowszym źródłem referencji jest Dokument Światowej Konferencji UNESCO w Palermo, z 1997 r. Wskazano w nim na instytucje szkolnictwa wyższego jako odpowiedzialne za tworzenie i upowszechnianie wartości kulturowych, nazywając je "inkubatorami kulturowej różnorodności, wielorasowej harmonii i zrozumienia". Przywołano także tradycję europejskich uniwersytetów, zawierającą się w "kulturowej jedności poprzez różnorodność". Jednoznacznie stwierdzono, że "uniwersytety nie powinny orientować swojej strategii na rynek pracy, który jest dynamiczny i heterogeniczny, lecz na potrzeby społeczne". Już w latach dwudziestych pisano o znaczeniu historii techniki i nauki oraz o potrzebie jej uprawiania w ramach tradycyjnych dyscyplin. W okresie powojennym gorliwie przystąpiono do realizacji tego postulatu, co zaowocowało rozwojem badań i obfitą literaturą. Współczesny orędownik idei nauczania historii techniki w ramach studiów inżynierskich, prof. William Addis z Uniwersytetu Reading, wymienia takie korzyści:

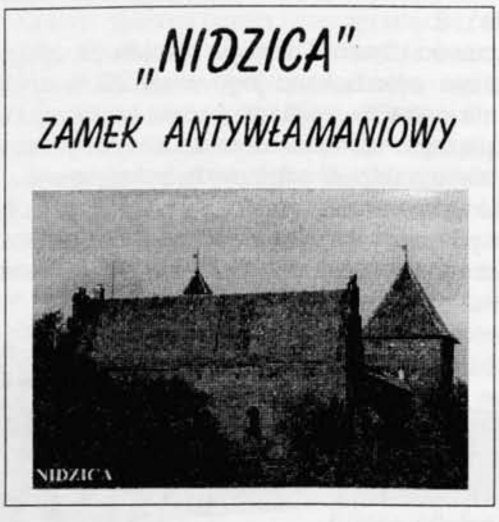
- inspiracja współczesnego projektowania i innowacyjności technologicznej;
- unikanie powtarzania błędów skutkujących w przeszłości awarią lub katastrofą;
- prognozowanie rozwoju techniki jako continuum przeszłości, a nie jedynie teraźniejszości;
- popularyzacja gruntownej wiedzy o dziedzictwie techniki w miejsce potocznych i uproszczonych opinii lub nawet błędnych przekonań;
- dowartościowanie inżynierów, dziś często degradowanych do roli rachmistrza lub technika;
- ogólnopoznawcza refleksja ontologiczna, ułatwiająca odpowiedź na pytania: gdzie jesteśmy, jak tutaj dotarliśmy i dlaczego właśnie tu, a nie gdzie indziej.

Koncepcję nowego przedmiotu oparto na doświadczeniach zagranicznych, przede wszystkim na programach edukacyjnych *English Heritage,* weneckiego centrum Rady Europy *Centro Europeo di Formazione degli Artigiani per la Conservazione del Patrimonio Architettonico* oraz *ICCROM* - międzynarodowego ośrodka UNESCO w Rzymie. Wykorzystano także wnioski z realizacji pilotażowych wersji kursu w Hanzehogeschool van Groningen w Holandii, prowadzonych w ramach programu TEMPUS. W efekcie przyjęto następujące założenia programowe i metodyczne przedmiotu "Dziedzictwo budownictwa":

- treści nauczania powinny być nowatorskie na wydziale, jednakże nie powinny być oderwane od kierunku studiowania;
- wiedza nabyta w ramach nowego przedmiotu powinna mieć charakter ogólnopoznawczy, jednak z określonym zakresem użyteczności;
- treści nauczania powinny umożliwiać ich interpretację w aspekcie humanistycznym (nietechnicznym) oraz społecznym;
- zakres wiadomości nie powinien powodować szczególnych utrudnień w przyswajaniu wiedzy;
- aktywizacja studentów podczas zajęć oraz inspiracja do pracy własnej i pozaszkolnego uzupełniania wiedzy są pożądane;
- kryteria oceny powinny być zobiektywizowane i oparte na systemie punktowym.

Założono, że przedmiot zakwalifikowany jako "ćwiczenia", realizowany w interaktywnej formie warsztatów, spełni również postulat upowszechnienia dóbr kultury, poszerzając społeczny krąg jej odbiorców poprzez likwidację barier dostępności, które zwykle stawia niewiedza.

I wygląda na to, że tak właśnie stało się. Wielu studentów znalazło wreszcie powód zgłębienia tematów, które już od dawna budziły ich ciekawość, jednakże brakowało owego motywującego pierwszego "popchnięcia". Błyskotliwe efekty przyniosła praca zespołowa w terenie i publiczna prezentacja jej wyników. Pretekstem do kreacji plastycznej lub literackiej było ćwiczenie pt. "Promocja



Propozycja opakowania zamka antywłamaniowego.
Proj. Michał Janiszewski



Triumf ZZZ nad ZZ

Czerwiec 1998 r.
- ostatnie zajęcia z przedmiotu "Dziedzictwo budownictwa". Studenci prezentują efekty ćwiczenia projektowego pt. "Promocja wybranego obiektu dziedzictwa budownictwa".

wybranego obiektu dziedzictwa budownictwa". Nie ukrywam, że efekty studenckich wysiłków radowały, a ich żywiołowość nawet czasami szokowała. Jedna grupa studentów zorganizowała wycieczkę dydaktyczną do kolebki naszej kultury - Krakowa, inna zaś z determinacją odbyła zaplanowane zajęcia terenowe w Gdańsku, a nawet je wydłużyła, mimo "psiej" jak najbardziej pogody. Wielu słuchaczy wykonało zadania projektowe w sposób wzorowy, uzyskując liczbę punktów wymaganą do oceny bardzo dobrej. Jedynie 12% słuchaczy wypracowało ocenę dostateczną i w tym kontekście można by nazwać ich zdeklarowanymi technokratami, niechętnymi problematyce kursu. Podczas ostatnich zajęć studenci dokonali oceny przedmiotu za pośrednictwem anonimowych ankiet. Analiza 107 odpowiedzi pozwala na sformułowanie m.in. następujących stwierdzeń:

- Wiadomości z zakresu interpretacji budowlanej substancji zabytkowej oraz podstaw technologii prac konserwatorskich były nowe dla 90% słuchaczy.
- Za najbardziej przydatne w przyszłości uznano wiadomości objęte tematem "związek między zawodem inżyniera a ochroną zabytków".
- 30 % zwątpiło w przydatność wiedzy o międzynarodowych dokumentach w sprawie zachowania dziedzictwa oraz o polskich obiektach na Liście Światowego Dziedzictwa.
- 90% studentów uznało cały program przedmiotu za "powiększający zasób wiedzy ogólnej", przypisując średnio po 7,5% dezaprobaty poszczególnym blokom tematycznym, przy czym największą dezaprobatę uzyskały "dokumenty międzynarodowe" oraz "kryteria oceny autentyzmu zabytkowego obiektu budowlanego".

Można stwierdzić, że nowy przedmiot uzyskał aprobatę zdecydowanej większości studentów, a ich opinie o zakresie tematycznym przedmiotu i sposobie organizacji zajęć zostaną wykorzystane do jego udoskonalenia. Wygląda na to, że "Dziedzictwo budownictwa" nie znalazło się pośród owych przedmiotów, które studiuje się według zasady ZZZ (zakuć-zaliczyć-zapomnieć), gdyż już jego pierwsza realizacja przebiegała pod hasłem ZZ, czyli zrozumieć-zapamiętać. A to może przynieść owoce wiedzy Szanownym Paniom Studentkom i Panom Studentom oraz dać chociaż odrobinę satysfakcji nauczycielowi akademickiemu.

Waldemar Affelt
Wydział Budownictwa Lądowego

DRODZY PAŃSTWO
Zarząd Klubu Seniora Politechniki Gdańskiej
organizuje
w dniu 24 grudnia br.
o godz. 17.00





WIECZERZĘ WIGILIJNĄ

dla wszystkich chętnych z naszego grona.

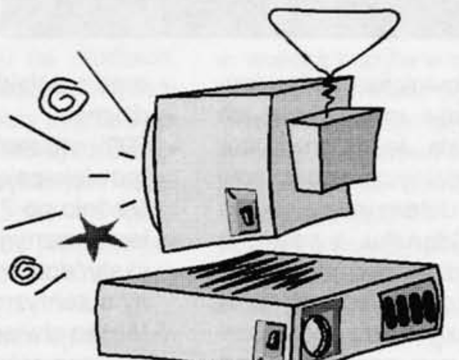
ZAPRASZAMY SENIORÓW
I PRACOWNIKÓW UCZELNI

Osoby zainteresowane prosimy
o szybki kontakt z Klubem Seniora

>*Flexible Learning*<, czyli: jak Jaś chciałby się uczyć

UWAGA!!! Poniższy tekst został napisany pod silną presją ze strony przełożonych, przez co zatracił swą swobodną formę i stał się tym czym jest, za co z góry przepraszamy. Chcielibyśmy również nadmienić, że angielskich terminów nie tłumaczyliśmy, ponieważ chyba nikt nie chce (dwu)mlaskać myszką...

W ostatnią niedzielę września, 10 członków koła naukowego pod opieką pani mgr Anny Grabowskiej udało się do Krakowa w celu odbycia 5-dniowego kursu Flexible Learning (flexible - *ang. giętki, elastyczny,* learning - *ang. nauczanie, wiedza*). Warsztaty prowadzili (w języku angielskim) Tony Simmonds i Nick Slope z Wielkiej Brytanii, mający wieloletnie doświadczenie we wdrażaniu i organizowaniu kursów Flexible Learning w Europie (i na świecie?). Flexible Learning jest stosunkowo nowym sposobem, stylem nauczania. Nauczania w bardzo szerokim pojęciu. Tak szerokim, że wykład o FL postanowiliśmy przedłożyć w postaci kilku artykułów, bowiem FL obejmuje zarówno sposób i formę przekazywania wiedzy, rolę nauczyciela, relację nauczyciel - uczeń, indywidualne predyspozycje ucznia, jak i wiele, wiele innych czynników.



Flexible Learning jest kombinacją kilku rodzajów nauczania:

1. Open Learning (open - *ang. otwarty*) jest ukierunkowane możliwościami intelektualnymi, czasowymi, łatwością dostępu do źródeł wiedzy i miejscem zamieszkania ucznia.

W tym systemie uczeń może dopasować czas nauki do indywidualnych potrzeb (np. tak aby nauka nie kolidowała ze stałą pracą itp). Uczeń może uczyć się własnym tempem w zależności od potencjału intelektualnego i czasu, jaki może poświęcić na naukę, może decydować, kiedy przystąpić do egzaminu (brak semestrów), może rozpocząć nauczanie w dowolnym momencie, może również przed rozpoczęciem kursu zaprezentować swoją wiedzę, tak aby nie musiał uczyć się tego, co jest mu od dawna znane.

2. Resource-Based Learning (resource - *ang. zasoby, środki;* base - *ang. podstawa, podłoże*) skupia się na dobieraniu i udostępnianiu źródeł uczniowi. Uczeń sam dobiera materiały, z których najłatwiej jest mu się uczyć. Chodzi tu zarówno o treść materiałów ("ta książka mi odpowiada, a ta nie"), jak i formę, w jakiej są przekazywane (Internet, CD-ROM, książki). Uczeń ma swobodny dostęp do źródeł wiedzy (nie musi stać w bibliotecznej kolejce po jedyną książkę na uczelni, którą i tak może wypożyczyć tylko do czytelni...) , sam ustala systematykę nauki (self-managed learning). Materiały zawierają esencję, rdzeń przedmiotu (naszym odpowiednikiem mogą być tutaj skrypty), tak aby uczeń nie musiał wertować tysięcy stron książek i marnować czasu na samo "szukanie" wiadomości. Dlatego też nauczyciel, a w zasadzie prowadzący pomaga tylko w pewnym stopniu - nie jest medium posiadającym wszelką wiedzę (takim medium są właśnie materiały, czyli resource).

3. Distance Learning (distance - *ang. odległość*) umożliwia naukę "na odległość". Główną zaletą tego systemu jest to, że uczniowie mogą być geograficznie oddaleni od ośrodka kształcenia (i od innych uczniów). Dzięki temu może dochodzić do konfrontacji ludzi różnych narodowości, kultur itp. Jak łatwo się domyśleć, DL wykorzystuje nowe technologie: komputery, Internet, CD-ROMy - materiały dostarczane są np. w formie elektronicznej, dzięki czemu łatwo, szybko i tanio można je powielić, udostępnić. Rola nauczyciela, podobnie jak w Resource-Based Learning, może być tu trochę ograniczona, ze względu na brak bezpośredniego kontaktu nauczyciela z uczniem i ze względu na formę przekazywanych materiałów, które są ukierunkowane na samodzielną pracę ucznia.

4. Traditional Learning (traditional - *ang. tradycyjny*), czyli nauczanie tradycyjne. Jak wiadomo - nie ma to jak sprawdzone metody...

Łatwo można zauważyć, że powyższe systemy mają wiele cech wspólnych (np. Distance Learning i Resource-Based Learning). Z drugiej strony jednoczesne zrealizowanie wszystkich powyższych założeń jest bardzo trudne, w zasadzie niemożliwe, dlatego szuka się jak najlepszych kompromisów.

Nasze koło zajmuje się organizowaniem, projektowaniem i wdrażaniem kursów w formie ODL (Open-Distance Learning) i dlatego warsztaty Flexible Learning miały dla nas duże znaczenie.

Najlepszym argumentem przemawiającym za wdrażaniem Flexible Learning są czas i pieniądze. FL jest tanią i skuteczną (czyli szybką) metodą nauczania. Stały napływ uczniów może być zagwarantowany dzięki np. brakowi semestrów (a także marketingowi, ale o tym w przyszłych częściach artykułu). Materiały są w formie modułowej, tzn. nie trzeba opanowywać całego materiału, żeby zrozumieć zagadnienia z pewnej dziedziny. Materiały są dostosowywane do potrzeb i możliwości ucznia, jednocześnie dając mu możliwość wykazania się posiadaną wiedzą. FL wymusza uczenie się aktywne, a nie pasywne (czyli np. bierne słuchanie wykładów), przez co uczeń zdobytą wiedzę będzie mógł łatwiej wykorzystać w praktyce. W FL uczeń ma swego rodzaju komfort psychiczny ze względu na nową rolę nauczyciela (o tym również w późniejszych częściach): "nauczyciel dla ucznia, a nie uczeń dla nauczyciela". Powyższe czynniki wpływają znacznie na skrócenie czasu nauki, co jest znakomitą odpowiedzią na zapotrzebowanie przemysłu: w czasach wdrażania nowych technologii wiele firm potrzebuje wykwalifikowanych pracowników. Pracownicy ci mogą się dokształcać bez przerywania normalnej pracy w stosunkowo krótkim czasie.

Najsłabszym ogniwem FL jest jak zwykle człowiek, który po prostu musi chcieć. Ten problem również poruszymy w przyszłych częściach wykładu. W przyszłych artykułach znajdą miejsce:

- MARKETING FLEXIBLE LEARNING - wdrażanie i reklama kursów FL,
- rola nauczyciela (*tutor's role*),
- media a FL,
- Managing and Administration in Flexible Learning (zarządzanie projektem FL).

Jan "Joannis" Góralczyk
Student Wydziału Elektroniki, Telekomunikacji Informatyki
Marek "Dzieciol" Dzięcielski
Student Wydziału Budownictwa Lądowego

Komin źródłem miłości

Słońce prażyło niemiłosiernie. Jak okiem sięgnąć tylko piach, piach i... ledwie żywy podróżnik. Umęczony okropnym upałem Zenon Flak posuwał się z uporem, przemierzając ślizg po ślizgu niezmierzone przestrzenie Pustyni Kungulungu. W tej chwili nie marzył o niczym więcej niż szklanka zimnej... Coca - Coli, lekko wypieczony stek, kawior i śledź w marynacie (przepraszam, poniosła mnie wyobraźnia). Tymczasem jego manierka zdała się wprost idealnie odzwierciedlać sytuację budżetową naszego państwa, to znaczy pomimo usilnych prób nakłonienia jej do współpracy, gróźb, żądań i szantażu nie była skora wydać na świat choćby jednej kropli substancji nieorganicznej złożonej z dwóch atomów wodoru i jednego atomu tlenu, potocznie określanej w pewnych kręgach kulturowych mianem wody. Ostatkiem sił całkiem przypadkowy globtroter (tu gwoli wyjaśnienia dodam, że ów nieszczęśnik znalazł się w tym niefortunnym położeniu na skutek nadmiernej cieka- wości połączonej z 67° wychyleniem z balonu) uniósł ociężałą próbą wymyślenia czegoś rozsądnego głowę i mocno zdziwiony ujrzał dwie postaci rodem nie z tej bajki...

Pani Zenobia Korniszon nieco zdezorientowana rozejrzała się wokół, w poszukiwaniu jakiegokolwiek punktu odniesienia dla tej mocno nietypowej sytuacji. Jej grube bobrowe futerko i wielka czapa w stylu późnosocjalistycznym sprawiły, że w ułamku sekundy poczuła się, delikatnie powiedziawszy, cała mokra i to bynajmniej nie z powodów metaboliczno-fizjologicznych, lecz na skutek wydzielania nadmiernych ilości substancji z porów skórnych (wydaje mi się, że dla utrzymania ogólnej dramaturgii utworu taki zwrot był bardziej właściwy niż pospolite stwierdzenie: "pociła się niemiłosiernie").

- Mamo, co my tu robimy i gdzie jest śnieg? - zapytało małe zawiniątko (mocno przypominające ciut za grubo ubrane dzieciątko), szarpiąc za rękaw oszołomioną Zenobię K.
- Nie wiem, synku, najwyraźniej pomyliliśmy poziomy abstrakcji i poszliśmy niewłaściwą uliczką! Chodź, wracamy! - odparła rezolutnie zdesperowana kobieta.
- Ale, proszę pani, czy mogłaby... - Zenon F. na co dzień nieśmiały, zakompleksiony młodzieniec zdobył się na nonszalanckie zagadnięcie nieznajomej, lecz ta po prostu gdzieś znikła, nie pozwalając mu przezwyciężyć jego życiowych zahamowań (być może ten fakt zaważył na tym, że już do końca życia nie pozbył się tej psychicznej przypadłości. Swoją drogą nie trwało to zbyt długo, bo, w pięć minut później zmarł z powodu odwodnienia organizmu).



Rys. T. Sitek

Tymczasem, gdzieś w pobliżu południka społecznej wyrozumiałości, na kontynencie zgoła europejskim, dwie istoty człekopodobne (ta trudność identyfikacji wynikła z grubej warstwy lepkiego śniegu, który je pokrywał) dziarskim krokiem posuwały się chodnikiem, pełne entuzjazmu i niespotykanego obywatelskiego optymizmu. Mniejszy bałwanek (słowo "bałwanek" zdało mi się najbardziej adekwatne do sytuacji, biorąc pod uwagę niemożność wyszczególnienia jakichkolwiek cech humanoidalnych u owych postaci) zagadnął większego:

- Mamo, czy już jesteśmy w domu?
- Ttttaaakkk ssyynnnkkuuu... - odparła szczękając zębami Zenobia K., która na skutek szoku termicznego przeżywała wyraźny kryzys mentalny.

Postaci otrząsnęły się ze śnieżnej pokrywy, dając szansę przeciętnie inteligentnemu Czytelnikowi na w miarę bolesną identyfikację. Zenobia Korniszon chwyciła pierworodnego za rączkę i chyłkiem próbowała wymknąć się z opowiadania. Jednakże ja, jako baczny narrator, dla dobra Was, drodzy Czytelnicy, jak i dla własnej kariery pisarskiej, skierowałem jej życie na inne tory, zatrzymując ją jeszcze chwilę w kreowanej przeze mnie rzeczywistości.

- Co ty sobie myślisz, durny narratorze, natychmiast żądam odesłania mnie do domu, bo zadzwonię po policję, ty bałwanie, ty idio...

W tym momencie na skutek dziwnego zbiegu okoliczności (a może w wyniku zwykłego kaprysu autora tegoż opowiadania) Zenobia K. niespodziewanie straciła głos, co uniemożliwiło jej zapewne kontynuację niesłusznych pomówień i obelżywych uwag wobec kreatora świata, w którym się aktualnie znalazła.

- Zobacz, mamciu, pierwsza gwiazdka! - zapiszczał Zyzio Korniszon, wpatrując się w niebo.

Jednakże nie była to z całą pewnością pierwsza gwiazdka, chyba co najwyżej na firmamencie międzygalaktycznych wypaczeń upojnej rzeczywistości. W poprzek nieba mknął przedziwny zaprzęg, który pomimo Wigilijnej Nocy trudno było posądzać o jakiekolwiek podobieństwo ze Świętym Mikołajem. Bliżej niezidentyfikowany obiekt latający obniżył swój lot, siadając prawie idealnie (nie licząc dwóch przewrotek, urwania płozy i wyrzucenia pasażera z siedziska) na dachu budynku, znanego społeczności studenckiej miasta Gdańska jako "BRATNIAK". Lekko poturbowany pasażer podniósł się i z pewnym zażenowaniem (żeby nie powiedzieć: z wyrzutem) spojrzał na dwa wyliniałe reniferki rodem z kresów wschodnich z dalece posuniętą restrukturyzacją poroża, wynikającą zapewne z trudnych warunków bytowych ludności tubylczej Sewastopola. Istotki te, prawie kompatybilne z zestawem transportującym klasy "saneczki dwuśladowe" zasmuciły się na widok nieco znichłanego Captaina Kooyawiacka, który Bóg wie czemu próbował imitować Św. Mikołaja. Ten, poprawiwszy sobie foliową brodę a la Satan Claus (o przepraszam, Santa Claus), zarzucił sobie wór od kartofli (tanią i podłą imitację magicznego worka Gwiazdora) na plecy i wcisnął się do komina, chyba specjalnie przygotowanego na tę okazję. Posuwając się w dół otworu dymnego, posłyszał niespokojne krzyki na dole:

- Pewnie jest pod stołem!
- Wyłaź Święty i dawaj prezenty!
- Wyciągnijcie go spod stołu!
- Cicho bydlaki, uspokójcie się, nie zachowujcie się jak AIESEC UG ! - donośny krzyk Danuty K. i Łukasza Ch. starał się najwyraźniej przywrócić ład i porządek.
- Zawołajmy razem Mikołaja! - zaproponowała Danuta K., licząc na ogólne zrozumienie.

- MIKOŁAJU, MIKOŁAJU, MIKOŁAJU! - zaryczeli całą mocą młodzieńczych gardeł członkowie skrajnie, nieprzyzwoicie roboczej organizacji AIESEC z Politechniki Gdańskiej.

Budynek zatrząsł się w posadach, sprawiając, że ostrożnie i powoli poruszający się w dół komina Captain Kooyawiack resztę drogi odbył w trybie zgoła przyspieszonym. Bolesny upadek złagodziły skrupulatnie ustawione w stożek szczapy drzewa, których jedynym minusem był fakt, że w momencie kontaktu z ciałem galaktycznego herosa akurat rezolutnie płonęły. Rozpalony (rzekłbym prawie dosłownie) tak gorącym przyjęciem ze strony gospodarzy świątecznego przyjęcia Niby Święty Mikołaj wyskoczył z kominka, sprawiając wszystkim nie lada niespodziankę, a zwolenników tezy, że siedział pod stołem, wprawiając w fatalny nastrój. Dalszego przebiegu uroczystości nie będę przedstawiał, zarówno dla dobra uczestników wyżej wymienionej imprezy, jak i dla ich rodzin i bliskich. Z całą pewnością było świątecznie, każdy dostał jakąś sorpresę, nawet gdy na nią nie zasłużył, zachowując się w sposób karygodny i niegodny naśladowania (tak Pawle W., to o Tobie mowa. Gdyby nie Roger Odrzutowiec, kto wie, jakby się to wszystko skończyło!). Było miło, jedzenie ponoć było wyśmienite (tak słyszałem od niezaangażowanych emocjonalnie uczestników tegoż spotkania, ponieważ gdy dopchałem się do stołu, świecił on już pustkami i jedną wielką świeczką, która nieśmiało płonęła w rogu), zabawa była przednia, życzenia serdeczne i pełne łez wzruszenia, a i bez kolęd na zakończenie się nie obyło. Jednym słowem, warto było lecieć na łeb, na szyję przez komin, aby przeżyć ten szczególny wigilijny wieczór, w gronie najbardziej zwariowanych zapaleńców, jakich ziemia nosiła. Wesołych Świąt & Happy New York drodzy AIESEC-owcy! Niech nowy rok da nam siłę do dalszej natchnionej pracy i organizacji morderczych maratonów pracy, zwanych dumnie projektami! Na potęgę Posępnego Czerepu, mocy przybywaj i bądź z nami... na wieki wieków. Tym optymistycznym akcentem kończę tę wigilijną opowieść (bo czas mi gnać do domu, zanim rodzina spałaszuje świąteczne przysmaki i dobierze się do moich prezentów) i liczę, że wyciągniecie z tej przypowieści odpowiednie wnioski. Wsparcie finansowe na rzecz Niby Mikołaja proszę wpłacać na konto: "Fundusz na willę Captaina Kooyawiacka" BANK TRANSCYDENTALNY w Górnej Wolcie PS 2236580 - IL3456.

Nawiedzony arcybiskup Kościoła Sambolijskiego chwilowo dentysta głębinowy z powołaniem ewangelistycznym
Captain Kooyawiack

Jarosław Buliński
Student Wydziału Chemicznego

PS. Zespół Redakcyjny PISMA PG, poruszony kolejnymi tekstami Captaina Kooyawiacka, dawał dotąd posłuch chochlikowi, który twierdził, że pan Jarosław Buliński studiuje na Wydziale Zarządzania i Ekonomii. A to nieprawda, wobec czego wszystkich zainteresowanych i niezainteresowanych przepraszamy.

Przedstawiam Państwu kolejną publikację studenta naszej uczelni napisaną na zajęciach z filozofii - z filozofii współczesnej lub z etyki biznesu. Wydała mi się na tyle interesująca, że warto, aby zapoznało się z nią szersze grono czytelników.

Studentom-czytelnikom - proponuję lekturę tej pracy w ramach utwierdzania się w przekonaniu, że studia na uczelni technicznej wcale nie muszą "produkować" technokratów dostrzegających w świecie wyłącznie to, co da się zmierzyć, obliczyć, dotknąć. Natomiast czytelnikom - nauczycielom akademickim - lektura artykułu być może podda pomysł takiego doboru materiału wykładowego, konstruowania programów studiów i formy prowadzenia zajęć, aby studenci naszej uczelni naprawdę byli przekonani, że studiują na uniwersytecie technicznym, a humanizacja studiów politechnicznych nie polega tylko na dodawaniu do programu zajęć przedmiotów z filozofii, socjologii czy psychologii.

Ewa Hope Wydział Zarządzania i Ekonomii

Być biznesmenem w pojęciu zasad etyki chrześcijańskiej -na podstawie "I ty jesteś biznesmenem" ks. Mieczysława Malińskiego

"...Na rynku panuje prawo dżungli, ludzie skaczą sobie do gardła, wyrywają sobie z zębów nawet ochłapy, trwa taka bezpardonowa walka, wszystkimi sposobami, że słowo uczciwość jawi się jak przybysz z innego świata."

ks. Mieczysław Maliński "I ty jesteś biznesmenem"

Decydując się na ten rodzaj studiów, wielu z nas marzy o karierze biznesmena. Myślę, że również większość uważa, iż wystarczy, posiadając firmę lub zajmując wysokie stanowisko w jakimś przedsiębiorstwie, tak prowadzić interesy, aby przynosiły jak największe zyski. Nie jest jednak prawdą nasze pierwotne wyobrażenie o tym zawodzie. Jego istotą nie jest tylko osiąganie zysku. Lepszym twierdzeniem jest już tworzenie wartości dodanej, eliminuje ono wizję destrukcji. Doświadczenia wielu firm pozwalają na określenie pewnych wniosków. Jeżeli należymy do grupy osób nastawionych na szybki zysk, dla których nie jest istotny wizerunek własnej firmy, musimy zdać sobie sprawę, że rynek szybko zweryfikuje naszą postawę. Na prawdziwy sukces mogą liczyć tylko ci, którzy myśląc o pieniądzach, nie zapominają o wielu zasadach i obowiązkach. Ich sukces zawodowy stanie się również sukcesem osobistym, a kultura i wartości, które sobą reprezentują, będą procentować, równoważąc zyski z wielu "brudnych" interesów. Dlatego chciałabym przedstawić kilka aspektów etycznych i moralnych bycia człowiekiem biznesu.

Ksiądz Mieczysław Maliński mówi w swojej książce: "... gdy zwracam się do ciebie jako biznesmena, to mówię, że Bóg jest Uczciwością." Wg księdza uczciwość powinna być kontrolowana przez nasze sumienie, które jest naszym najwyższym autorytetem i sędzią. Kościół i cała etyka chrześcijańska opiera się na naszym sumieniu, naszej wyroczni. Niestety, w dzisiejszych realiach wielu ludzi prowadzących interesy zabiło swoje sumienia poprzez nieczystą grę, poprzez donoszenie na innych, w celu wyeliminowania ich z rynku. Niewielu, a może nawet nikt, nie widzi dzisiaj grzechu w tym, że był nieuczciwy w stosunku do swojego współpracownika, przeło-

żonego, podwładnego czy konkurenta, który mógł mu zagrozić swoją fachowością, czy kompetencją. Niewielu zdaje sobie sprawę z tego, że oszukiwanie klientów stawianiem nieprawidłowych diagnoz, sprzedawaniem przeterminowanych lub niedoważonych produktów itp. - jest także niewybaczalnym grzechem. Nikt nie chce się przyznać, nawet przed samym sobą, że oszukiwał, aby osiągnąć większe zyski. Ludzie, którzy tak postępują, powinni liczyć się z tym, że kiedyś ich nieuczciwość zobaczy światło dzienne, a wtedy nie będzie już odwrotu. Stracą zaufanie i dobre imię u swoich klientów, a ponowne ich zaskarbienie stanie się niemożliwe lub bardzo kosztowne.

Przyszli biznesmeni, którzy chcą osiągnąć sukces, żyć w zgodzie ze swoim sumieniem i zyskać sympatię społeczeństwa, powinni zapoznać się z dziesięcioma przykazaniami, które opisuje ks. Mieczysław. Według mnie przykazania te, które są nietypową formą kodeksu etycznego, mogą być także cennymi wskazówkami dla każdego człowieka, nie tylko człowieka interesu.

Po pierwsze, aby zostać biznesmenem, trzeba mieć pomysł lub pomysły. Jeżeli się tego nie ma, należy poczekać na chwilę, gdy coś się znajdzie. Musimy wiedzieć, że pomysł jest podstawą każdej działalności. Trzeba najpierw znaleźć coś, czym chcielibyśmy się zajmować. Potem musimy sprawdzić, czy jesteśmy w stanie zrealizować nasz pomysł. Gdy jest to możliwe i mamy poparcie przyjaciół, wówczas możemy startować.

Aby zrealizować swój pomysł, potrzebujemy odwagi, która pomoże nam wejść w nieznane dotąd środowisko biznesu. Potrzebujemy odwagi, aby stawić czoła wszelkim przeciwnościom, które napotkamy na swojej drodze.

Następnie potrzebna jest nam wytrwałość, aby nie stało się tak, jak mówi polskie przysłowie, że Polacy mają "słomiany zapał". Powinniśmy unikać jednostajnej pracy i organizować ją tak, aby wymagała od nas ciągłej twórczości. Musimy także pamiętać, aby wytrwać pomimo zmian zachodzących w gospodarce i prawie. Powinniśmy być przygotowani na wciąż nowe bariery stawiane przez państwo oraz cały czas uczyć się na swoich błędach.

Nie możemy też dać się złamać. Gdy zdarzy się, że nagle przyjdzie uderzenie ze strony, której nigdy byśmy o to nie podejrzewali, musimy się pozbierać i uodpornić. Każdy z nas powinien mieć swoją hierarchię wartości, której nikt nie będzie w stanie zburzyć. Poczucie własnej wartości może pomóc także zwykłym ludziom, którym brakuje pewności siebie.

Każdy biznesmen powinien pamiętać, że jest duchem swojej firmy, czyli osobą, na której opiera się cała reszta. Szef powinien wierzyć w siebie i mieć do siebie zaufanie, gdyż jego pracownicy wierzą mu i ufają. Dużą zaletą każdego właściciela jest pogoda ducha i optymizm, którego niestety wielu ludziom brakuje.

Następną cechą, wg mnie najważniejszą, o której należy pamiętać, jest solidność. Powinniśmy zawsze dotrzymywać danego komuś słowa. Niech każdy wie, że nigdy nie rzucamy słów na wiatr, dotrzymujemy umówionych terminów, jesteśmy punktualni, a nasza praca nie ma śladów fuszerki. Poprzez solidność szanujemy swoich pracowników i klientów.

Siódme przykazanie mówi o odpowiedzialności, jaką niesie samodzielne podejmowanie wielu decyzji. Wymaga ona od decydenta pewnej wrażliwości moralnej. Powinniśmy stale siebie kontrolować i pytać się: czego chcę? lub: o co mi chodzi? Aby mieć poważanie i dobre imię nie powinno nam zależeć na tym, aby "znaleźć jelenia, zedrzeć z niego skórę i uciec". Niestety, w dzisiejszych czasach istnieje wiele firm, które w krótkim czasie dorabiają się i znikają z rynku, nierzadko pozostawiając oszukanych klientów.

Każda firma, która chce długo istnieć, tworzyć swoją historię i renomę, musi pamiętać o inwestowaniu w swoją przyszłość. Nie można na bieżąco przejadać własnych zysków, gdyż dla nas, związanych z firmą, może to oznaczać rychły koniec kariery biznesmena. O tym przykazaniu powinien wiedzieć niejeden polski tzw. biznesmen - dorobkiewicz, który - chcąc zaimponować swemu środowisku - rozbija się drogim samochodem, szaleje w luksusowych hotelach i na wystawnych przyjęciach. Dla takich ludzi przyszłość może stracić urok nowobogactwa, pozostawiając same pieniądze i niesmak ich zdobywania.

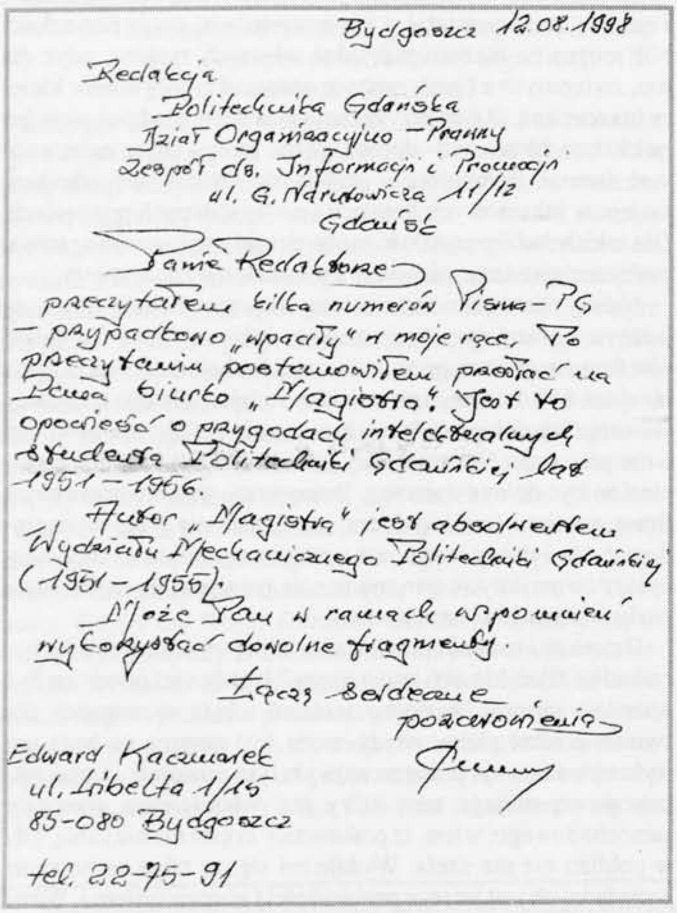
Należy także pamiętać o własnych pracownikach, którzy są jednym z ważniejszych czynników sukcesu firmy. To dzięki nim firma wytwarza, produkuje, czyli funkcjonuje. Nasza firma powinna być domem, a pracownicy rodziną, dlatego też należy starannie ich dobierać. Jeżeli ktoś się nie nadaje, nie powinien u nas pracować. Natomiast gdy już mamy zgrany zespół, powinien on być dobrze opłacany. Pracownicy współtworząc naszą firmę, powinni czuć się doceniani. Często nie tylko wynagrodzenie, ale i dobre słowo jest ważnym czynnikiem motywującym. Powinniśmy w tym momencie pamiętać, że najbrzydszą wadą biznesmena jest skąpstwo.

Dziesiąte i ostatnie przykazanie najlepiej odzwierciedla porzekadło: "Pańskie oko konia tuczy." Każdy szef powinien być wszędzie obecny, wszystko widzieć i być wymagający dla swoich pracowników, wtedy może być pewny, że będą oni wykonywali swoją pracę na najwyższym poziomie. Z praktyki zawodowej mojego taty, który jest właścicielem warsztatu samochodowego, wiem, iż pracownicy często nic nie robią, gdy w pobliżu nie ma szefa. Wydaje mi się, że takie zachowanie podwładnych jest jeszcze pozostałością starego systemu. Wówczas nikt nie przejmował się terminami i zobowiązaniami, i zawsze otrzymał zapłatę. Złe przyzwyczajenia pracowników często są przyczyną strat ponoszonych przez firmę.

Do powyższych przykazań dodałabym jeszcze intuicję, która jest bardzo przydatną cechą charakteru. Czasami trzeba po prostu czuć, czy zaangażować się w dany interes, czy też nie. O wielkiej roli intuicji w życiu biznesmena mówi w artykule Zbigniewa Gajewskiego "Najważniejsza jest intuicja" ("Biznesman" 10/97) Anna Podniesińska, polska kobieta interesu, właścicielka holdingu Intercam Ltd., która wiele życiowych decyzji zawdzięcza swojej intuicji.

Myślę, że gdyby polscy biznesmeni zapoznali się z powyższymi zasadami i zaczęli ich przestrzegać, nasza gospodarka byłaby bardziej rzetelna i uczciwa. Gdyby było więcej ludzi kierujących się zasadami etyki, nie byłoby tylu firm (np. wysyłkowych) żerujących na ludzkiej naiwności i niewiedzy. Takie firmy, posługując się nieuczciwą reklamą, oszukują swoich klientów, sprzedając im tandetny towar po wysokiej cenie. Chciałabym, aby istniała jakaś instytucja, która ścigałaby nierzetelnych sprzedawców i pomagałaby pokrzywdzonym klientom. Dobrym rozwiązaniem mógłby być również kodeks etyczny dla zakładającego firmę, pod warunkiem, że taki człowiek miałby sumienie i honor, i przestrzegałby zawartych w kodeksie zasad. W ogóle chciałabym, żeby na świecie nie było ludzi nieuczciwych, nierzetelnych, bez poczucia moralności. Zdaję sobie jednak sprawę, że nigdy tak nie będzie, że każdy z nas musi nauczyć się żyć w tym brutalnym świecie i musi stawiać czoła codziennej nieuczciwości. Należy mieć tylko nadzieję, że nasze pokolenie wniesie lepsze wartości do świata biznesu, i że nie spotkają nas bardziej bolesne doświadczenia.

Magdalena Berdys
Studentka Wydziału Zarządzania i Ekonomii


Bydgoszcz 12.08.1998

Redakcja
Politechnika Gdańska
Dział Organizacyjno - Prawny
Zespół ds. Informacji i Promocji
ul. G. Narutowicza 11/12
Gdańsk

Panie Redaktorze

przeczytałem kilka numerów Pisma - PG - przypadkowo „wpadły” w moje ręce. Po przeczytaniu postanowiłem przesłać na Pana biurko „Magistra”. Jest to opowieść o przygodach intelektualnych studenta Politechniki Gdańskiej lat 1951 - 1956.

Autor „Magistra” jest absolwentem Wydziału Mechanicznego Politechniki Gdańskiej (1951 - 1955).

Może Pan w ramach wspomnień wykorzystać dowolne fragmenty.

Łączę serdeczne pozdrowienia

Edward Kaczmarek
ul. Libelta 1/15
85-080 Bydgoszcz

tel. 22-75-91

MAGISTER

DYPLOM WYŻSZEJ UCZELNI

Słoneczne południe czerwcowego dnia 1956 roku. Na dziedzińcu, przed gmachem uczelni, przystaje na chwilę absolwent politechniki - świeżo upieczony - magister inżynier Adam Górski. Rozgląda się dokoła. Oczy wędrują po szczegółach okazałej fasady gmachu uczelni, po trawnikach, klombach, kępach krzewów, drzew, po kutych artystycznie ogrodzeniach otaczających rozległy kompleks uczelnianych budynków. Ostatni rzut oka na miejsce, w którym spędził pięć lat. Strumyczki wspomnień z owych pięciu lat wypełniają chwile zamyślenia, wprawiają w zdumienie. Do świadomości dociera fakt doniosłości owej chwili. Oto przekroczył w życiu następny próg.

Panie! - szept popłynął pod kopułę błękitnego nieba, w bezkres kosmosu. Oto przed chwilą otrzymałem Dyplom. Spójrz, Panie, tak wygląda dokument stwierdzający nadanie tytułu magistra inżyniera.

Magister - to ważny tytuł. Iluż ludzi marzy o takim właśnie tytule. W średniowieczu czułbym się, Panie, profesorem sztuk wyzwolonych. Sztuki wyzwolone to siedem nauk świeckich stanowiących wstęp do nauk wyższych: gramatyka, retoryka, dialektyka, arytmetyka, geometria, astronomia i muzyka. Co prawda, Panie, z większości tych gałązek nauki łyknąłem ledwie co nieco. Ba, z niektórych kompletnie nic. Teraz wiek XX. Do mojego magistra przypięto tytuł inżyniera.

Pięć lat ćwiczono moją wyobraźnię, moje pojmowanie otaczającej mnie rzeczywistości w ścisłych formułkach, wzorach, wykresach, prawach matematyki, fizyki... Pięć lat kształtowano mój mózg, bym mógł z luźno rozrzuconych kawałków materii świata składać sensowne całości. Pięć lat to zapewne niewiele, ale wystarczająco, żeby w chaosie potrzeb i możliwości oddzielić ziarno od plew

Magister, czyli mistrz. Przed Tobą, Panie, stoi mistrz. Magister dixit - mistrz powiedział. Magister elegantiarum - mistrz wytworności. Magister ceremoniarum - mistrz ceremonii. Mistrz, mistrz... ringu, bieżni, szos, basenu, parkietu... Mistrz czarnej magii, wodolejstwa, ogłupiania... W każdej dziedzinie ludzkiej działalności ktoś osiąga mistrzostwo. Gromada mistrzów, Panie, wyłania mistrza mistrzów, czyli arcymistrza.

Czego się nauczyłem? Co pojąłem prawidłowo, co na opak? Co zrozumiałem? Czego się nawet nie domyślam? Przecież magister to też często główna postać komedii.

Michel de Montaigne tak oto widział, Panie, kształtowanie magistrów: "Wobec sposobu, w jaki odbywa się nasza nauka, nie dziw, że ani uczniowie, ani mistrzowie nie porastają w rozum, mimo iż porastają w wiadomości. W istocie cała troska i wydatki naszych ojców mierzą jeno ku temu, aby nam naładować głowę wiedzą; o kształtowaniu pojęcia i charakteru ani słychu".

Właśnie! Czy ja też, Panie, należę do owych komediowych magistrów, którzy wynieśli z uczelni tylko garść wiedzy?

WOLNOŚCI DZIEŃ PIERWSZY

Pięć lat temu, Panie, wsiadłem do pociągu dalekobieżnego i przyjechałem do tego miasta. Miasta, gdzie sławne uczelnie. Zapamiętałem chwilę wsiadania do pociągu, przechodzenia długim korytarzem wagonu pulmanowskiego, odsuwanie drzwi przedziału i zajmowanie miejsca przy oknie. Niemal z namaszczeniem kładłem na półce bagażnika maleńką, tekturową, powycieraną w narożach, walizeczkę. Obok położyłem pękatą, rozlazłą teczkę. Na haku powiesiłem wyblakłą kurtkę. Wszystko, co wówczas wiozłem, co miałem na sobie, było już solidnie wyeksploatowane. Ale nawet na ułamek sekundy nie przeleciała mi przez głowę myśl, że mógłbym się swojego ubóstwa wstydzić. Pewnie przesadzam, używając słowa ubóstwo, raczej wszystko, co posiadałem, nie było dopasowane do mnie. Buty były z solidnej skóry, ale za duże, ubranie z dobrego materiału, ale szare i uszyte na wyrost, spodnie za szerokie i rękawy marynarki nieco za długie. Wszystko było pomyślane na daleką przyszłość. - Musimy żyć oszczędnie, nie stać nas na częste kupowanie ubrań! - to zdanie wygłaszane przez matkę bardzo poważnie, w formie upomnienia, słyszałem od najwcześniejszych lat.

Po raz pierwszy opuszczałem swoje miasto sam. Jechałem zdawać na politechnikę.

- Nikt z mojej rodziny ani z rodziny matki nie powąchał wyższej szkoły, ty zostaniesz inżynierem! - Kiedy ojciec wypowiadał te słowa, twarz jego promieniała radością.

Matka miała inne zdanie: - Jeszcze się chłopakowi w głowie poprzewraca od tej nauki - protestowała. - Czy nie wystarcza, że zrobił maturę i jest technikiem? W naszej rodzinie nawet technika nie ma! Ale ojciec twardo i nieustępliwie powtarzał: - Jeżeli zechce, może studiować nawet dziesięć lat! Może zdobywać najwyższe tytuły naukowe! Jak długo zdrowie mi dopisze, tak długo będę synowi pomagał!

Tekturowa walizeczka, sprytnie imitująca skórzaną, powycierana już na krawędziach, z wytłoczoną z blachy rączką i niklowanymi zatrzaskami, zamykała w swoim wnętrzu niebagatelną historię. Trzydzieści lat wcześniej wędrowała z ojcem piaszczystą, wiejską drogą. Syn robotnika folwarcznego, zbuntowany przeciwko całemu światu, wyjeżdżał do wielkiego miasta. W walizeczce wiózł koszulę, kalesony, krawat, krążek suchej kiełbasy, jajka na twardo i kromkę chleba. Na samym dnie walizeczki leżała posrebrzana papierośnica wyłożona wa-

toliną. W papierośnicy spoczywał krzyżyk ze stopu cynowego z przybitym doń brązowym Chrystusem. Papierośnicę z krzyżykiem otrzymał ojciec od mojego dziadka, gdy szedł na pierwszą wojnę światową. Jeszcze raz los powiódł ojca na wojnę z bolszewikami. Przewędrował na koniu szmat ziemi: od Bugu do Kijowa i z powrotem. Odpoczął i poszedł na drugą wojnę światową. I wrócił ojciec ze wszystkich wojen, chociaż niejeden raz kule gwizdały nad jego głową.

Po trzydziestu latach wiozłem w tej walizeczce prawie to samo: kolorową piżamę, koszulę, skarpetki, ręcznik, mydło, krążek suchej kiełbasy, jajka na twardo, pomidory i kilka jabłek. Tylko papierośnica z krzyżykiem spoczywała teraz na dnie komody, pod bielizną.

W teczce wiozłem książki: tablice matematyczne, zbiory zadań z fizyki i chemii. Wiozłem też gruby brulion, w którym notowałem ciekawsze fragmenty przeczytanych książek. Brulion stanowił jednocześnie pamiętnik, gigantyczny pamiętnik, gdyż był to już kolejny, szesnasty tom. Jechałem po wiedzę. Wierzyłem, że najciekawsze, co mogę czynić w życiu, to zdobywanie wiedzy i szukanie mądrości. Tego dnia ruszałem na spotkanie największej przygody Co do słuszności podjętej decyzji nie miałem najmniejszych wątpliwości.

W tę największą moją podróż ruszałem sam. Nikt mi nie towarzyszył, nikt mnie nie odprowadzał. Było mi smutno i radośnie zarazem. Smutek wypływał ze świadomości, że po raz pierwszy wyjeżdżam samotnie na długi czas do nieznanego miasta, między obcych ludzi. Radość, że nareszcie oderwałem się od przesadnej opieki rodziców, że wszystko, co od tej chwili będę robił, wyniknie wyłącznie z moich postanowień. Mogłem milczeć do woli. Milcząc, rozglądając się dookoła, mogłem puszczać wodze fantazji.

Tak upłynął, Panie, pięć lat temu, mojej wolności dzień pierwszy. Cdn.

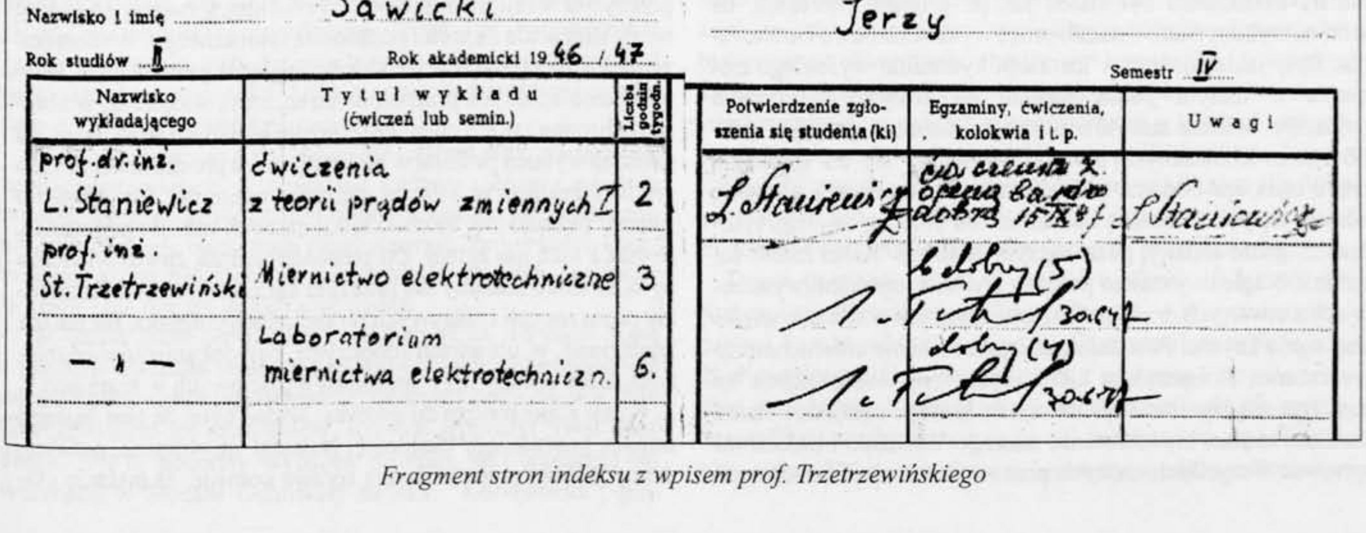
Edward Kaczmarek
Absolwent Politechniki Gdańskiej

MIGAWKI Z DAWNIEJSZYCH LAT (cd.)

CIĘŻKA JEST TECZKA PROFESORA

W piękny, upalny poniedziałek 30 czerwca 1947 r. w godzinach popołudniowych zdawałem egzamin z "*miernictwa elektrotechnicznego*", który przebiegał w formie rozmowy z prof. Trzetrzewińskim w jego gabinecie, mieszczącym się wówczas w pokoju E-25. Oprócz biurek profesora i "podręcznego" asystenta stała tam duża szklana szafa, w której znajdowały się przyrządy używane do demonstracji podczas wykładów. Byłem zapisany jako jedyny zdający tego dnia. Profesor, który ranek spędził na plaży, przyszedł punktualnie i w bardzo swobodnym nastroju. Z miejsca otworzył okna, a mnie powiedział "może pan zdjąć marynarkę, bo jest taki upał". Oczywiście zrobiłem to, a następnie profesor podał mi pierwsze pytanie. Opracowywałem je przy biurku asystenckim i z moim szkicem podszedłem do biurka szefa Katedry. Podczas gdy przeglądał treść mojego szkicu, przyglądałem się blatowi biurka. Luźne papiery leżały pod przyciskiem, który był fabrycznie wykonany z krótkiego odcinka podmorskiego kabla telefonicznego, umieszczonego na marmurowej podstawce, noszącej także mosiężną tabliczkę ze stosownymi danymi. Obok, bez żadnego widocznego celu, leżał na blacie żeliwny obciążnik, niewątpliwie odkręcony od którejś z ruchomych klapek w sali E-41.

Kolejnych pytań dostałem kilka, a sumarycznie uzyskałem wynik bardzo dobry. Dalszy ciąg opowiadania dotyczy znacznie późniejszego czasu, bo roku 1952. Katedra Miernictwa otrzymała dodatkowe pomieszczenia i gabinet profesora przenieśliśmy do pokoju E-31. Podczas przenoszenia jego biurka obciążnik spadł na podłogę, a wtedy profesor rzekł: "Kolego Sawicki, niech pan się przyzna, że to pan włożył mi to żelastwo do teczki!" W przerwie między jedną a drugą godziną wykładu Trzetrzewiński wstępował do dziekanatu, a swoją teczkę pozostawiał na sali. Dopiero pod koniec semestru letniego u siebie w domu szukał czegoś w teczce, i nie mogąc znaleźć, wysypał całą zawartość na stół. Wówczas ujawnił się obciążnik, noszony od paru tygodni. Do dziś nie wiem, który z kolegów spłatał tego psikusa. Zaskakującą wypowiedź profesor uzupełnił stwierdzeniem: "obciążnik położyłem na biurku, by winowajca zmieszał się przy zdawaniu egzaminu". Nikogo nie udało się wykryć, może przeniósł się na inny wydział?


8 POLITECHNIKA GDAŃSKA 8
L. 215
Nazwisko i imię Sawicki Jerzy
Rok studiów II Rok akademicki 19 46 / 47 Semestr IV

Nazwisko wykładającego	Tytuł wykładu (ćwiczeń lub semin.)	Liczba godzin tygodn.	Potwierdzenie zgłoszenia się studenta (ki)	Egzaminy, ćwiczenia, kolokwia i t. p.	Uwagi
prof. dr. inż. L. Staniewicz	ćwiczenia z teorii prądów zmiennych I	2	L. Staniewicz	ocena bardzo dobra 15 IX 47	L. Staniewicz
prof. inż. St. Trzetrzewiński	Miernictwo elektrotechniczne	3		b. dobry (5) 30 VI 47	
— " —	Laboratorium miernictwa elektrotechnicz.	6.		dobry (4) 30 VI 47	

Fragment stron indeksu z wpisem prof. Trzetrzewińskiego

"KLERYK" I "OTESZ'

Któregoś wiosennego dnia, bodaj w roku 1953, profesor szeroko uśmiechnięty wkroczył do naszego pokoju asystenckiego i od razu mnie zagadnął: "Czy wie pan, kolego Sawicki, jakie ma pan przezwisko u studentów?" Wiedziałem już od dawna i natychmiast odpowiedziałem: 'Kleryk'. Na to profesor rzucił: "Ja się właśnie dowiedziałem, bo Moja (określenie żony) w sklepie mięsnym na rogu Morskiej i Pileckiego stała za dwoma studentami. Jeden z nich powiedział, że dziś idzie na kolokwium u 'Kleryka'. Na to drugi zapytał, o kogo chodzi. No wiesz - usłyszał - to ten Sawicki z *miernictwa elektrycznego*". Skąd wzięli takie określenie?!

Ja mogę dokładnie wyjaśnić i podać, kto i kiedy to ukuł. Był to pomysł kolegi Konstantego Kazigrotowskiego z sekcji telekomunikacji, który razem ze mną i Mietkiem Musielakiem był latem 1948 r. na praktyce studenckiej w fabryce "S. Cisewski pod zarządem państwowym" (dziś "Eltra") w Bydgoszczy. W dziale montażu bezpieczników topikowych i wyłączników oświetlenia pracowało dużo dziewcząt i w tych salach stale panował wesoły gwar. Nawiasem mówiąc, Mietek zwrócił tam uwagę na pannę Olę, którą poślubił po uzyskaniu dyplomu. Kostek też swobodnie opowiadał dowcipy, jedynie ja nie miałem jeszcze umiejętności towarzyskich i byłem stale milczącym obserwatorem, w dodatku oni dostali zielone kombinezony ochronne, a na moją figurę znaleziono tylko czarny. Na dobitek, przez parę dni nosiłem białą koszulę o dość ciasnym kołnierzyku, który wysuwał się na zewnątrz kombinezonu. Wyglądałem i zachowywałem się więc jak 'kleryk'. Kostek zdał dyplom nieco później niż my, w czasie gdy byłem już asystentem. Ukute przezwisko puścił więc między młodszych kolegów.



Praktyka u "Cisewskiego", lipiec 1948 r. Od lewej: Kazigrotowski, Sawicki, inż. Wirski, Masielak



Prof. Trzetrzewiński

"A pan Profesor zna swoje przezwisko?" - "No chyba 'Brodacz'!" - "Oczywiście, ale bardziej popularne jest 'Otesz'" - "Skąd to, jak żyję nigdy nie byłem na Łotwie!" - "Nie 'Łotysz', ale 'Otesz'! Przecież Pan zamiast 'otóż' wymawia 'otesz'". - "E tam, coś pan zmyśla, panie kolego!"

Minęło parę dni, gdy w naszym pokoju asystenckim zadźwięczał dzwonek aparatu telefonicznego. Do jednej linii miejskiej dołączone były równolegle dwa aparaty: u Profesora w "E-31" i u asystentów w "E-25". Wewnętrznej centrali telefonicznej jeszcze nie było. Profesor wzywał nas przez wykręcenie tarczą numeru "0", co powodowało odzywanie się dzwonka. Podniosłem słuchawkę, bo siedziałem bliżej aparatu niż Romek Dołmat. Zgłosiłem się i usłyszałem: "Kolego Sawicki, mam tutaj pewne wątpliwości w odniesieniu do wyników badania piorunochronów na magazynach portu gdańskiego". - "Już idę, panie profesorze!" - Zastukałem do drzwi gabinetu "E-31" i rozległo się "Tak", więc wszedłem. Profesor siedział przy swym biurku i z miejsca powiedział. "Otesz, kolego Sawicki. Ależ ja rzeczywiście mówię 'Otesz'!".

Jerzy Sawicki
Wydział Elektrotechniki i Automatyki

Obrazki z zawodowego życia absolwenta (cd.)

Były to lata osiemdziesiąte. Pracowałem wtedy w Stoczni Północnej na Wydziale Maszynowym. Do obowiązków Wydziału należał montaż mechanizmów siłowni i pokładu, a potem przeprowadzanie rozruchów, regulacji i prób zdawczych. Właśnie na ukończeniu był statek już po próbach morskich, na którym wykonywano ostatnie prace wykończeniowe i malowanie. Były jakieś usterki w instalacji hydrauliki wysokiego ciśnienia w małym pomieszczeniu na którymś z górnych pokładów, Miałem tam iść z mistrzem, rozeznać sytuację i ustalić zakres koniecznych prac. Umówiliśmy się na spotkania przed statkiem bodajże o 5.00 rano. O oznaczonej godzinie udałem się pod jednostkę i czekałem na mistrza, zajętego tymczasem gdzie indziej, poza naszym statkiem. Kilka minut się spóźnił. Nagle usłyszałem potężny wybuch i ujrzałem wystrzelający z otwartych drzwi na interesującym nas pokładzie wielki słup ognia i dymu. Powstało zamieszanie. Mnie unieruchomiło przerażenie. Zobaczyłam kilku mężczyzn, wbiegających na trap. Był między nimi i ów mistrz, na którego czekałem. Przed statkiem znalazł się kierownik naszego Wydziału i polecił mi spisywać wszystkich naszych pracowników, aby zorientować się, kogo brakuje. Wołał na ludzi, aby zgłaszali się do mnie i meldowali swoje istnienie. W tej fazie budowy było na jednostce co najmniej kilkadziesiąt osób z różnych komórek organizacyjnych Stoczni i trudne było szybkie ustalenie, kto przebywał w rejonie zagrożenia. Przed statek zaczęły zajeżdżać wozy strażackie i karetki pogotowia ratunkowego. Wynoszono ze statku porażonych ludzi, którzy wyglądali przerażająco. Wielu było oblepionych przepaloną farbą, która wtopiła się w ubrania ochronne i w ich ciała. Przeważnie byli to malarze. Jasne się stało, że wybuch powstał w maszynowni, a prócz malarzy miało się tam znajdować kilku z naszych monterów. Po zrobieniu bilansu okazało się, że choć kilku naszych zabrało pogotowie, to nikt z nich nie zginął, Od pierwszej jednak chwili wiadomo było, że kilku malarzy nie przeżyło katastrofy. Karetki rozwiozły poparzonych i nieżywych po szpitalach Gdańska, tak jak ich znaleziono, w ubraniach roboczych, bez dokumentów osobistych, które zostały przy ubraniach wyjściowych w szatniach.

Kilku z nas weszło do siłowni. Widać było, że tam nastąpił impuls, powodujący eksplozję. Nasunął się wniosek, potwierdzony później przez badającą sprawę komisję, że malarze uła-

twiali sobie pracę i wbrew przepisom myli przed malowaniem siłownię nie pędzlami, lecz rozpylając rozpuszczalnik aparatami pneumatycznymi, służącymi wyłącznie do rozpylania farby. Stwierdzono też później, że instalacja oświetleniowa o napięciu 24 woltów też nie odpowiadała przepisom, bo połączenia kablowe były prowizoryczne i przypuszczalnie nastąpiło iskrzenie. Rozpylony rozpuszczalnik utworzył z powietrzom mieszaninę wybuchową i mała iskierka wyzwoliła wybuch. Wszedłszy do pomieszczenia rozdziału hydrauliki siłowej, którą miałem obejrzeć z naszym mistrzem, przekonaliśmy się, że strumień ognia, który wystrzelił przez otwarte w pobliżu drzwi z szybu maszynowego, przeleciałby nie dalej, jak metr od nas. Pomieszczenia hydrauliki było małe i mógł jeden z nas stać na zewnątrz, lub przy otwartych drzwiach do pomieszczenia i narażony byłby albo na ogień, albo na uderzenie drzwiami zamykanymi podmuchem. Gdyby mistrz nie spóźnił się te kilka minut, znaleźlibyśmy się w strefie poważnego zagrożenia.

Po zejściu ze statku ustaliliśmy z kierownikiem, że utworzymy dwie czy trzy - już nie pamiętam - ekipy trzyosobowe, które samochodami objadą szpitale, ustalą gdzie kto leży i w jakim jest stanie. Byłem w jednej z tych ekip moim małym fiatem. Najpierw odwiedziliśmy szpital przy ulicy prof. Kieturakisa. Dopuszczono nas do wszystkich poszkodowanych i do kostnicy. Widok żywych i jeszcze żywych był bardziej przerażający niż zmarłych. Utwierdziłem się w swoim dawnym przekonaniu, że nie mógłbym pracować w służbie zdrowia. Dziwne to trochę, ale potrafię wyjąć komuś z palca drzazgę, lub nawet zrobić zastrzyk, ale nie mogę patrzyć na jakikolwiek zabieg robiony przez kogoś innego.

W szpitalu na Kieturakisa nie znaleźliśmy nikogo z naszych ludzi, a musieliśmy każdemu patrzeć w twarz, jako że przyjechali oni tam anonimowo. Następnym obiektem był szpital Akademii Medycznej. Tu znaleźliśmy kilku naszych monterów, na szczęście nie zagrożonych. Brakowało nam jednego, który pracował poza strefą ognia i wyniesiono go ze statku przytomnego i nie okazującego cierpienia. Personel szpitala tłumaczył nam, że nie mają nikogo takiego, kto byłby nie poparzony, lecz tylko lekko ranny. Po bliższych określeniach przyznano, że jest jeden podobny, ale przywieziono go w stanie agonalnym i już nie żyje. W kostnicy okazało się, że ów zmarły, to właśnie ten, którego szukaliśmy jako lekko rannego. Byliśmy zszokowani. Powiedziano nam, że zmarł w wyniku poważnych obrażeń jamy brzusznej i prawdopodobnie otrzymał silny cios poniżej pasa, Był nie do uratowania. Wróciliśmy do stoczni z przykrą wiadomością. Badając stanowisko pracy naszego zmarłego odtworzyliśmy sobie przebieg wypadku. Pracował on przy dużym zaworze, umocowanym na wysokości brzucha do rufowej grodzi maszynowej, ale po przeciwnej stronie niż siłownie. Eksplozja spowodowała gwałtowne, sprężyste wybrzuszenie grodzi w kierunku rufy i zawór z wielką siłą uderzył poniżej pasa naszego pracownika. Lekkie, stałe wybrzuszenie grodzi dało się zaobserwować i po awarii.

W ciągu następnych dni dowiadywaliśmy się o następnych zgonach ratowanych w szpitalach malarzy. Jeden z naszych monterów, mimo że nie doznał obrażeń, zwolnił się za Stoczni, nie mogąc znieść obciążenia psychicznego. Inny z kolei, który miał porażone blaskiem oczy i został wyleczony, pozostał w pracy i nie odczuł skutków wypadku.

W sumie życie postradało, o ile pamiętam, 18 osób. Ktoś z nadzoru wydziału malarskiego poniósł jakieś konsekwencje za niedopilnowanie prawidłowego procesu mycia siłowni. Nie dowiadywałem się szczegółów. Remont jednostki trwał dość długo. Był to podobny wypadek do tego, jaki wydarzył się wcześniej w Stoczni Gdańskiej na m.s. "Konopnicka", gdy palnikiem acetylenowym przepalono rurociąg, w którym było paliwo. Zginęło wtedy bodaj 21 osób. Byłem tego dnia w rejsie próbnym innego statku. Dowiedziałem się potem, że gdy pożar jeszcze trwał, telefonowano z głębi Polski do mojej żony z pytaniem, czy mi nic nie grozi.

Każdy zawód ma swoje niebezpieczeństwa i wybierając swoją drogę życiową trzeba mieć tego świadomość. Niestety, wybór zawodu najczęściej następuje, gdy człowiek jest bardzo młody i w swoim pragnieniu sukcesu nie myśli o konsekwencjach. Ale może to i dobrze?

***

Aby oderwać się nieco od tragicznych wspomnień opiszę jeszcze dwa wypadki przy pracy, którym uległam sam, ale które na szczęście nie pozostawiły złych skutków. Muszę w tym celu cofnąć się najpierw o 40 lat, a następnie o 30, tak dawno to się bowiem wydarzyło.

Któregoś zimowego miesiąca przełomu lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych szedłem z domu do Stoczni Gdańskiej ciemnym już wieczorem, aby sprawdzić, jak przebiegają prace na jednym ze statków podczas drugiej zmiany. Wiał mroźny wiatr, powodując zadymkę śnieżną. Dystans dzielący mój dom od stojącego statku pokonywałem zwykle w ciągu 20 minut. W Stoczni trzeba było przejść przez most pontonowy, który otwierano holownikiem, gdy jakaś pływająca jednostka musiała przepłynąć na drugą stronę. Idąc trafiłem akurat na moment otwierania. Udało mi się wskoczyć na holownik przycumowany do jednej z połówek mostu i przepłynąłem nim na drugą stronę. Gdy holownik przycumował do drugiej połówki, wyszedłem na ponton i z niego starałem się wspiąć na koronę mostu.

W połowie wspinaczki, gdy jedną nogą stałem na pontonie, a drugą miałem zadartą do góry, poczułem nagle silny ból w prawym pośladku, promieniujący na całe udo, co mnie zupełnie unieruchomiło. Jak wspomniałem już, wiał silny, mroźny wiatr, miotający śniegiem. Przechodzący ludzie pomogli mi wejść na most i poczułem, że nie mogę swobodnie iść, tylko kuśtykam małymi kroczkami na bolącej bez przerwy nodze. Pamiętając podobne przypadki u mojego Ojca pojąłem, że odmówił mi posłuszeństwa nerw kulszowy, zawiany i przeziębiony, czyli złapało mnie lumbago. Jednak dowlokłem się do statku, zlazłem kilka pięter do maszynowni, przekonałem się, że praca przebiega zadowalająco i wydostałem się na ląd. Szedłem ciemną nocą w zadymce do domu prawie godzinę i położywszy się do łóżka przeleżałem prawie trzy tygodnie. Od chwili odprężenia w domu i ustąpienia jakiejś wewnętrznej mobilizacji, niesprawność moja tak się wzmogła, że przejście kilku kroków do łazienki stało się problemem. Po wstaniu, jeszcze kilka dni miałem trudności, a ze schodów musiałem schodzić tyłem, aby uniknąć przykrego bólu. Po tym schorzeniu kupiłam sobie pierwsze w życiu długie kalesony i przestałem być gorącym chłopakiem, chodzącym bez szalika i w rozpiętej kurtce w najgorszą pogodę. Miałem wtedy około 30 lat i szczyciłem się tym, że w najgorsze mrozy chodzę w krótkich gatkach. Fanfaronada została ukarana. Ale przypadki lumbago i nawet dyskopatii zdarzały mi się jeszcze później co kilka lat. Dawałem sobie z tym radę i dotychczas chodzę jeszcze prosto, a mimo siedemdziesiątki nie stękam zbytnio przy pochylaniu się.

Druga przygoda zdarzyła mi się w około 10 lat później. Kończył się właśnie rejs próbny jednostki, w którym uczestniczyłem, i zmierzaliśmy do Stoczni. Postanowiłam zejść jeszcze do maszynowni. Gdy zstępowałem z ostatniego stopnia schodów, stanąłem na blachę podłogi, która okazała się źle umocowana. Blacha uchyliła się, a ja całym ciężarem wpadłem do zęzy, uderzając mocno stopą w konstrukcję podłogi. Poczułam

straszny ból w kostce, ktoś pomógł mi się wydostać i zawlókł do kabiny, położył i wezwał sanitariusza, aby mnie ratował. Założono mi kompres z altacetu, ale noga nadal bardzo bolała i szybko puchła. Po przybiciu do nabrzeża znów wywleczono mnie na ląd i jeden z pracowników Stoczni zawiózł mnie na taczkach do mojego biura, czyli do Delegatury Zakładów Urządzeń Technicznych "ZGODA", których wówczas byłem przedstawicielem. Z biura telefonicznie wezwałem stoczniową karetkę pogotowia. Zawiozła mnie do stoczniowego szpitala, gdzie nogę prześwietlono i założono gips. Dowiedziałem się też od chirurga, że drobne kostki w stawie skokowym mam poharatane na sieczkę, że mam leżeć w gipsie co najmniej trzy tygodnie, przyjść ma kontrolne zdjęcie, bo nie wiadomo, czy staw w ogóle się całkowicie wygoi. Po zdjęciu gipsu i przejściu przez komisję lekarską otrzymałem zaświadczenia, że mam 5-procentowe inwalidztwo i dostałem dwa tysiące odszkodowania z PZU. Przykazano mi też przez dwa lata chodzić wyłącznie w bucie z wysoką cholewką i nie ważyć się robić wycieczek w góry. A góry były wówczas naszym corocznym, rodzinnym wakacyjnym programem. Noga okazała się jednak mocniejsza od proroctw lekarzy, bo tegoż roku w lecie byliśmy znowu jak zwykle w Bukowinie Tatrzańskiej, łaziłem po górach gdzie chciałem, co prawda w pionierkach z cholewkami, i nie czułem żadnej niesprawności. Do dziś nie odczułem najmniejszych dolegliwości po wypadku. Cdn.

Krzysztof Targowski
Absolwent Politechniki Gdańskiej

OPOWIEŚCI KREŚLARNIANE (4)

ZDZISIO

Ze Zdzisiem trzymałem się przez całe studia. Był moim najlepszym przyjacielem. Mieszkaliśmy razem przez pięć lat w pokoju sublokatorskim niedaleko Politechniki. Razem też robiliśmy swoje projekty dyplomowe w naszej kreślarni w latach 1948 - 50.

Zdzisio był bardzo zdolny i pracowity; dzięki jego pomocy przebrnąłem przez wiele egzaminów. Wyróżniał się niezwykłą delikatnością i nieśmiałością, która malowała się na jego chłopięcej twarzy. Przy opowieściach naszych rozhukanych kolegów o ich bujnej przeszłości obozowo-powstańczo-partyzanckiej był tylko cichym słuchaczem podziwiającym te niezwykłe, chociaż prawdziwe, wyczyny. Był zdecydowanie zakompleksiony, że to jemu nie przydarzyły się takie okazje, przy których uwidoczniała się odwaga kolegów i zdobywali oni swą "mołojecką sławę". Spoglądał na nich z wielkim szacunkiem, uważając ich niemal za bohaterów.

Jednego zimnego grudniowego poranka Zdzisio przyszedł do kreślarni zupełnie roztrzęsiony i nie mógł wymówić ani słowa. Po pewnym czasie opowiedział mi po cichu przygodę, która właśnie mu się wydarzyła. Poszedł na sąsiednią ulicę do naszego kolegi mieszkającego w dużej kamienicy na najwyższym piętrze. Tam, przed drzwiami do mieszkania przyjaciela, wyszedł z ukrycia zabiedzony młody człowiek ubrany mimo chłodu tylko w lekkie drelichowe spodnie i zniszczoną letnią koszulę. Zatrzymał Zdzisia, popatrzył na jego czapkę studencką i wyznał, że jest akowcem i właśnie uciekł z więzienia, czy też aresztu. Nie ma pieniędzy, dokumentów, jest zmarznięty. Prosi o parę złotych i jakieś ubranie, by nie zwracać swoją koszulą uwagi na ulicy. Będzie tu czekał na pomoc.

Zdzisio zszedł na dół zupełnie oszołomiony. Z jednej strony poczuwał się do obowiązku udzielenia pomocy, z drugiej strony obawiał się prowokacji. A należy podkreślić, że to był okres największych represji stalinowskich. Podjął jednak ryzykowną decyzję, mimo że oczami duszy widział już przerwane swe studia i celę więzienną. Poszedł do domu, znalazł jakaś cieplejszą odzież - opróżnił dokładnie w niej kieszenie i włożył tam trochę pieniędzy. Ukrył wszystko pod płaszczem i drżąc cały z emocji poszedł w kierunku tej klatki schodowej.

Cały czas obserwował, czy nie jest śledzony, wreszcie, z duszą na ramieniu, wszedł na schody. W uszach mu pulsowało, serce podeszło pod gardła, wargi miał spieczone gorączką. W każdej chwili spodziewał się zatrzymania. Każde skrzypnięcie drzwi i każde odgłosy kroków na schodach go paraliżowały. Nigdy nie było mu tak ciężko wdrapać się na to czwarte piętro. Tam szczęśliwie zastał tylko uciekiniera. Do ostatniej jednak chwili nie był pewien, czy nie jest to przebrany ubowiec.

Zdzisio przekazał mu prędko przyniesione rzeczy i znów w napięciu ruszył na schody, tym razem w dół. Na zewnątrz domu pierwszy raz odetchnął głęboko, poczuł się lepiej, i poprzez podwórka, okrężną drogą, dostał się do naszej kreślarni.

Zastanawiałem się nad jego zachowaniem i doszedłem do wniosku, że ten wyczyn wymagał więcej odwagi niż udział w akcji partyzanckiej, gdzie działa euforia walki i świadomość obecności przyjaciół, na których pomoc można liczyć. Cdn.

Kazimierz Iwanowski
Wydział Mechaniczny



Zdzisio (Zdzisław Tatkowski), współwłaściciel terenowego volkswagena-KDF, 1949 r.

Pożegnanie kolegi ze studiów

Jeszcze dymiły gruzy starego Gdańska, a już z głębi kraju zdążali bezdomni profesorowie i napływały rzesze młodych ludzi, którzy zamierzali nadrabiać wojenne zaległości w studiowaniu. W tej masie tułaczy był i Edek Łabanowski.

W zdewastowanych murach dawnej uczelni technicznej Wolnego Miasta Gdańska rodziła się polska Politechnika. Dziwnych miała ona studentów. Jeszcze niedawno byli to partyzanci z lasów kieleckich, uczestnicy niewolniczej pracy pod bombami aliantów w zbrojeniowym przemyśle niemieckim, żołnierze AK z kresów wschodnich, uczestnicy powstania warszawskiego, żołnierze Berlinga oraz nieliczni szczęściarze - tacy jak Edek, którym udało się ujść z życiem z morderczej pracy w zdewastowanych kopalniach Donbasu, a potem uratować się ze śmiertelnych jatek Polaków Wileńszczyzny, wyłapywanych i masowo pędzonych przez politruków pod ostrzał z hitlerowskich umocnień na mazurskiej ziemi.

W domach akademickich trwały niekończące się "nocne rodaków rozmowy" o wojennych przeżyciach i zaskakujących problemach rzeczywistości powojennej. Była to dramatyczna choroba pokolenia, które zmagało się ze swą przedwczesną dojrzałością - pokolenia, które wojna obarczyła zadaniami przekraczającymi jego odporność psychiczną.

Koledzy z Poznania planowali wspólne wyjazdy na święta do rodzinnego miasta. Grupa zaś młodzieży z Płocka tworzyła międzywydziałowe koło, które miało własną tablicę ogłoszeń przy bramie PG. Jakżeśmy im zazdrościli, bo my ze wschodnich dzielnic Polski byliśmy na cenzurowanym u władz politycznych. My, Wilnianie, ekspatriowani z ziemi ojczystej, źle znosiliśmy wyobcowanie na gruzach miasta o odmiennej tradycji. Edek mieszkał ze swoją - jakże zacną - mamą. Lgnęliśmy więc do życzliwej atmosfery i wileńskiej gościnności w tak bardzo obcym dla nas środowisku.

Z ogromnym nakładem społecznego trudu uruchomiony został chór akademicki. Uczestniczyła w nim zżyta grupka studentów technologicznej sekcji Wydziału Mechanicznego, a wśród nich był i Edek. Międzyuczelniany Akademicki Chór Mieszany był pierwszą i jedyną autonomiczną organizacją studencką na Wybrzeżu Gdańskim. Wkrótce jednak zatriumfowały czerwone krawaty.

Warunki materialne zmuszały nas do zarobkowania przed ukończeniem studiów. Wobec bolesnej luki pokoleniowej - bowiem średnie pokolenie najboleśniej ucierpiało podczas wojny - Uczelnia zatrudniała pomocniczych pracowników dydaktycznych (tzw. zastępców asystenta) o małym wymiarze zajęć. Edek związał się z Katedrą Metaloznawstwa, której kierownik - prof. Marian Sienkowski (ze Lwowa) o iście kresowej życzliwości - kształcił i doskonalił licznych absolwentów. Po nabyciu wiedzy i umiejętności zawodowych odchodzili oni do przemysłu, lecz wciąż odwiedzali Profesora, który niezmordowanie pomagał im rozwiązywać dylematy zawodowe. Do tej grupy podopiecznych Mistrza należał również Edek, który całe życie zawodowe przepracował w wybranej dyscyplinie na rzecz przemysłu okrętowego.

Niech to wspomnienie o Edku skłoni do chwili refleksji o pokoleniu uwikłanym w dylematy czasów wojny totalnej.

Wacław Dziewulski
Wydział Mechaniczny

Wspomnienie o Moim Ojcu, Emilianie Sroce (cd.)

*

Mijały emigracyjne, smutne lata z dala od Polski. Znaczącym wydarzeniem w życiu rodziny był dzień 9 marca 1944 roku, dzień ostatecznego uzależnienia Węgier od Niemiec hitlerowskich. Tego dnia ojciec - wraz z liczną grupą Polaków - został przez Niemców aresztowany. Siedział pół roku w jednym z budapeszteńskich więzień, a potem został zwolniony (wrzesień 1944 roku).

Do Jego zwolnienia przyczynił się w dużej mierze pewien fakt, który miał miejsce jeszcze w Bratysławie, na kilka miesięcy przed wybuchem wojny. Na Słowacji panował już wówczas rząd w znacznym stopniu uzależniony od Niemiec. Ludność słowacka odnosiła się jednak do spraw polskich na ogół życzliwie. Ojciec redagował wtedy w imieniu Konsulatu Polskiego i na zlecenie Rządu Rzeczypospolitej audycje radiowe w języku polskim. W zaistniałych warunkach nie było to zadanie łatwe. Pewnego dnia przyjechał do Konsulatu - dla załatwienia spraw ekonomicznych - jakiś poseł z Warszawy. Był to człowiek nastawiony hurrapatriotycznie, lecz o niezbyt rozwiniętym zmyśle politycznym. Nieświadomy delikatnej sytuacji, w jakiej przyszło żyć i pracować naszemu przedstawicielstwu dyplomatycznemu w Bratysławie, począł ojca publicznie pouczać, jak należy "dokopać Niemcom przez radio". Ojciec odrzekł na to, że nie jest właścicielem prywatnej rozgłośni radiowej. Obowiązany jest przestrzegać aktualnych instrukcji rządu polskiego, któremu bardzo zależy na utrzymaniu plecówki dyplomatycznej na Słowacji, co do której wiadomo, że Niemcy szukają tylko pretekstu, aby ją skompromitować. Powołał się przy tym na najnowsze zarządzenie rządowe, nakazujące unikania jakichkolwiek prowokacji wobec Niemców. Stanowisko ojca poparł bratysławski konsul.

Wieść o tym, niezbyt zresztą groźnym, incydencie pomiędzy posłem Rzeczypospolitej a przedstawicielem Konsulatu Polskiego, przedostała się jakoś do wiadomości tajnych służb niemieckich - najprawdopodobniej drogą ich wywiadu agenturalnego. Fakt, że ojciec, pomimo usilnych nalegań posła polskiego, nie chciał "dokopać Niemcom przez radio"... wpłynął łagodząco na usposobienie gestapo wobec niego, a w końcu doprowadził do jego uwolnienia. Warto może wspomnieć, że spośród kilkudziesięciu Polaków aresztowanych razem z moim ojcem dnia 15 marca 1944 roku za działalność w polskich związkach emigracyjnych, bezpośrednio z rąk hitlerowców zginęło 5 osób. Spróbuję przytoczyć ich nazwiska (imion nie pamiętam): 1.Ks. Witosławski OFM, duszpasterz emigracyjny; 2. Sławik, wyższy urzędnik państwowy; 3. Pułk. Kołłątaj; 4. Filipowicz, artysta malarz; 5. Pysz, członek KPP. Pozostałym udało się przeżyć.

Od wiosny 1944 roku Budapeszt począł być obiektem nalotów bombowych alianckiego lotnictwa. Naloty te nasiliły się jeszcze latem i jesienią. Na ogół bywało tak, że nocą bombardowali Anglicy, zaś w dzień, i to przeważnie w niedzielę (ze względów humanitarnych), nadlatywali Amerykanie. Niektóre

dzielnice Budapesztu bardzo ucierpiały na skutek tych nalotów. Nasza rodzina, pomimo kilku przykrych i niebezpiecznych sytuacji, wyszła z nich dzięki Bogu bez większego uszczerbku.

Właściwe działania wojenne rozpoczęły się dokładnie w wigilię 1944 roku. Tego właśnie dnia wojska sowieckie wszczęły ciężki ostrzał artyleryjski miasta, rozpoczęło się regularne oblężenie stolicy Węgier, które trwało do pierwszych dni lutego 1945 roku. Spędzono nas do schronu, i tu ze względu na wciąż trwający ostrzał spędziliśmy całe oblężenie - blisko półtora miesiąca. W kamienicę, w której mieszkaliśmy, trafiło wtedy 17 pocisków większego kalibru. Nasze mieszkanie szczęśliwie ocalało.

Ze względu na to, że znaliśmy zbrodnie popełnione przez Niemców na Polakach, a także ze względu na ich butne zachowywanie się wobec "węgierskich sojuszników", niepomiernie wzrosły nasze sympatie wobec Rosjan. Życzyliśmy im jak najszybszego zwycięstwa. Ich wkroczenie do miasta przyjęliśmy więc z prawdziwą radością. Niestety, wkrótce spotkało nas rozczarowanie: żołnierze sowieccy od samego początku swej obecności w mieście zachowywali się jak barbarzyńcy w nieprzyjacielskim kraju. Rozboje, rabunki, gwałty, kradzieże, nawet morderstwa - stały się chlebem powszednim tamtych dni.

Gdy pierwszego dnia po wkroczeniu Moskali wyszliśmy z piwnicznego schronu, ujrzeliśmy na podwórzu naszego domu duży wóz, załadowany do granic możliwości zrabowanym mieniem naszych węgierskich przyjaciół. Wokół wozu uwijali się jacyś żołnierze w nieznanych mi dotąd mundurach i wydzierali się groźnie na broniących swojej własności Madziarów. Tak wyglądał nasz pierwszy (choć, niestety, nie ostatni) kontakt z Armią Czerwoną.

Tego dnia nasz dobry sąsiad, Polak - mówiący biegle po rosyjsku - ogarnięty radosną euforią, wyszedł do zbliżającego się oddziału kozaków dońskich, by powitać ich chlebem i solą. Właśnie brał się za wygłoszenie uroczystej mowy powitalnej... Podążający na czele oddziału oficer warknął na niego: "*A ty czto? Ruskij emigrant, a? Nu, padażdi*". Kiedy ten próbował się gęsto tłumaczyć, kozak schwycił go krzepko za ramię, a drugą ręką począł machać przywołująco w stronę nadchodzącego właśnie patrolu. Biedny nasz sąsiad powrócił z tego uroczystego dnia dopiero po sześciu dniach - z nieco przerzedzonym uzębieniem. Od tego czasu stał się on dziwnie powściągliwy w okazywaniu swych uczuć Moskalom. Ojciec nazywał go odtąd żartobliwie "*biełyj emigrant*".

*

Na początku lutego 1945 roku, bodajże w trzy dni po wkroczeniu wojsk sowieckich do Budapesztu, zapukał do naszego mieszkania patrol. Dwóch "bojców" z oficerem. Oficer był uprzedzająco grzeczny, uśmiechał się życzliwie do wszystkich, jakby chciał nam nieba przychylić. Podszedł do mnie, 9-letniego wtedy chłopca, pogłaskał po głowie i zapytał, czy nie jestem głodny? Patrzyłem na niego nieufny. Nie czekając na moją odpowiedź, podszedł do ojca i kazał mu się ubierać: - "Pójdzie pan z nami, po jedzenie dla dzieci. Bo my teraz mamy wszystkiego w bród! Cukierki, czekoladę... Wy, Polacy, tak srodze nacierpieliście się w tej wojnie, podobnie zresztą, jak i my, Rosjanie. Taka to już ta nasza słowiańska dola! Dlatego my, Słowianie, powinniśmy sobie wzajemnie pomagać. Wot, czto! Nu, grażdanin Sroka, wy sobierajties skorej i pajdziomcie! Teraz my, Rosjanie, chcemy wam, Polakom, pomóc!"

Te wzniosłe słowa o ogólnosłowiańskim obowiązku wzajemnej pomocy nie podziałały jakoś na matkę uspokajająco. Widząc, jak ojciec stoi gotowy do wyjścia, zaczęła płakać. Było późno, około godziny 21.00... Uśmiechnięty enkawudzista jął matkę pocieszać: - "Nie płacz, barinia, nie ma czego. Za godzinę twoj suprug powierniotsja. Daję ci na to 'słowo po czesci' radzieckiego oficera. Niech mąż weźmie jakąś torbę na to jedzenie, które otrzyma na naszym komisariacie..."

Oficerskie słowo honoru uspokoiło matkę. Wiedziała, jaką ma ono wartość w ustach Polaków. Pożegnała więc ojca już bez płaczu. Przecież wróci za godzinę!

Ale ojciec za godzinę nie wrócił! Nie wrócił nawet następnego dnia... Na trzeci dzień matka gniewna i zrozpaczona chwyciła mnie za rękę i poszliśmy szukać ojca po różnych ruskich komisariatach, rozsianych po całym Budapeszcie. Bóg chyba sprawił, że przy pierwszym z nich spotkaliśmy naszego "znajomego" enkawudzistę. Był sam. Na nasz widok odczuł nagłą potrzebę przejścia na drugą stronę ulicy. Matka podbiegła jednak do niego i zapytała twardo, gniewnie: - "Gdzie jest mój mąż!?" Widać było wyraźnie, że jest naprawdę zmieszany. Jego wiecznie rozbiegane małe oczka błądziły gdzieś po dachach domów. W końcu spojrzał na matkę z kiepsko udanym zdziwieniem: - "Nie wrócił?... A myśmy go przecież nie zatrzymywali! Dostał od nas pełną torbę konserw, czekolady, 'kanfietow' i poszedł do domu. Więc nie wrócił? To dziwne. Ale myśmy go naprawdę nie zatrzymywali. Daję wam na to, barinia, uczciwe, oficerskie słowo honoru!... A może on po prostu wpadł pod samochód?... Albo go bandyci napadli... Tyle się dziś włóczy tego przestępczego elementu po ulicach, że pożal się Boże..."

Na takie dictum acerbum matka zbladła. "Wpadł pod samochód... bandyci go napadli!" Ale jej bogata, kobieca intuicja podpowiadała jej jednak, że facet łże jak najęty, podpierając się przy tym niefrasobliwie swoim radzieckim słowem honoru. Po kilku dniach okazało się, że rzeczywiście intuicja matki nie zawiodła. Wśród Polonii budapesztańskiej rozeszła się wiadomość, że NKWD aresztowało 17 Polaków - wszystkich tego samego dnia. A aresztowało ich pod zarzutem szpiegostwa na rzecz Anglii. Zarzut był słuszny, aczkolwiek z logicznego punktu widzenia całkowicie absurdalny i niezrozumiały, bo przecież Anglia była wtedy wierną sojuszniczką ZSSR. Atoli Rosjenie mieli za złe polskim wywiadowcom, że donosili Anglikom, a nie im, choć oni byli tak blisko!

Wszystko wskazywało na to, że władze sowieckie zamierzają wyrządzić jakąś grubszą krzywdę owym 17 zatrzymanym (wśród nich mojemu ojcu) zaangażowanym we współpracę z brytyjską Intelligence Service. Z początku bito ich i obchodzono się z nimi bardzo okrutnie (ojciec stracił na skutek bicia kilka zębów). Zanosiło się na to, że zostaną zesłani na Sybir lub



W gabinecie prof. Tomasza Biernackiego, 1971 r.; 50-lecie związku małżeńskiego Ludmiły i Emiliana Sroków

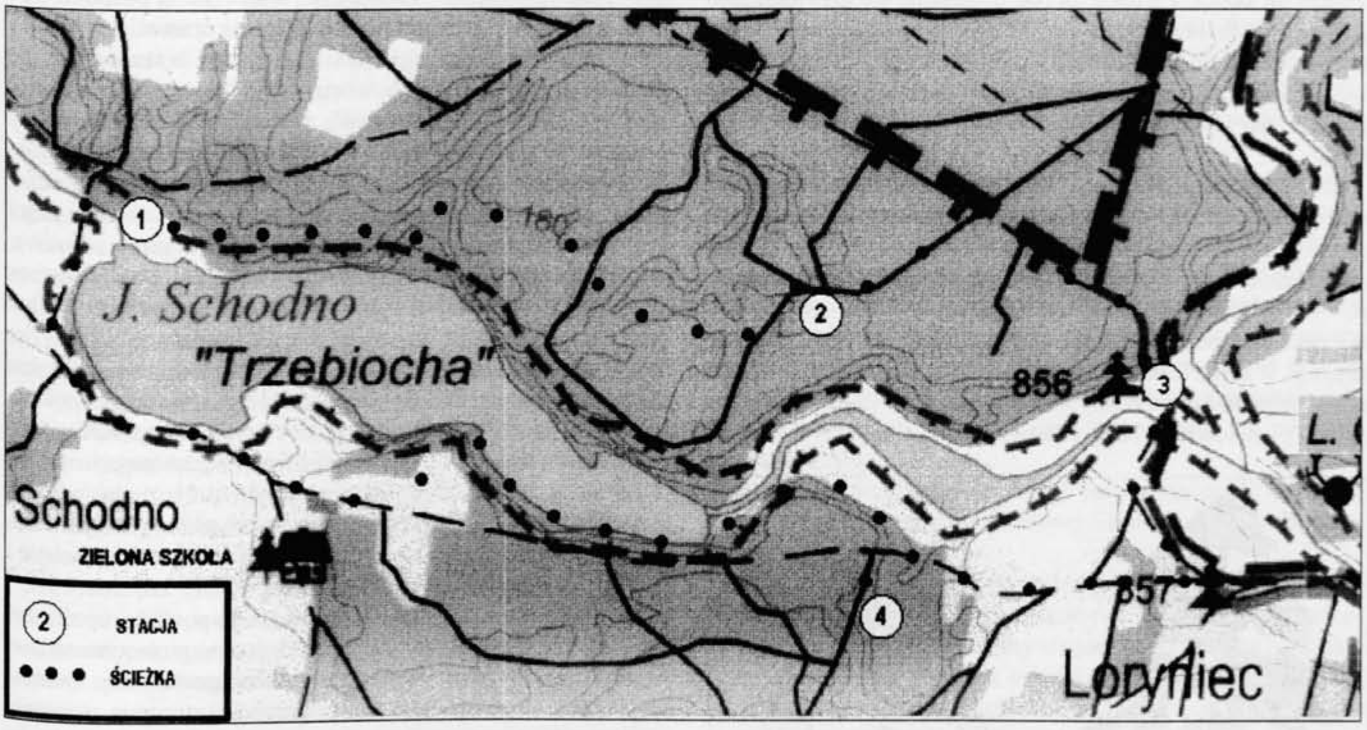
straceni... Takie represje w stosunku do "wrogów klasowych i sługusów imperializmu" bywały wtedy na porządku dziennym. Atoli od kwietnia 1945 roku sytuacja więzionych zmieniła się radykalnie. Zaczęto obchodzić się z nimi po ludzku. Poprawiło się mizerne dotąd wyżywienie, a z końcem kwietnia wszyscy zostali zwolnieni. Okazało się, że był to wynik bardzo energicznej interwencji brytyjskich władz wojskowych, które stanęły w obronie swych współpracowników z okresu wojny.

Podczas gdy ojciec siedział w kazamatach sowieckich, reszta rodziny Sroków pozostawała bez środków do życia i klepała ciężką biedę. Naprawdę nie było co jeść! Matka, czując się za nas - swoich dwóch synów- odpowiedzialna, nie wytrzymała ciężaru sytuacji, która wtedy istotnie wydawała się beznadziejna. Zachorowała ciężko na serce.

Wówczas stanął na wysokości zdania mój starszy brat, Bolesław. Choć miał wtedy niespełna 15 lat, wziął na siebie trud utrzymanie rodziny. Przynosił więc ze stawów rybnych nielegalnie złowione przez siebie karpie, polował w parku miejskim (też oczywiście nielegalnie) na bażanty; podejmował różne nadarzające się, doraźne prace, np. rąbanie drewna, cyklinowanie i pastowanie podłóg itp. W ten sposób zarabiał na chleb. Cdn.

Ksiądz Bronisław Sroka SJ

ŚCIEŻKA PRZYRODNICZO-DYDAKTYCZNA



Przybliżony przebieg ścieżki dydaktycznej i lokalizacja stacji w rejonie "Zielonej Szkoły" w Schodnie

WE WDZYDZKIM PARKU KRAJOBRAZOWYM

W ramach edukacji przyrodniczej coraz częściej tworzone są tzw. ścieżki przyrodniczo-dydaktyczne. Są to trasy wytyczone po interesującym przyrodniczo terenie, opisane w specjalnych przewodnikach, zaopatrzonych w mapki oraz ryciny (zdjęcia, rysunki). Przedstawiają one zwykle florę i faunę, które można napotkać w trakcie wycieczki. Nakładem Wydawnictwa Gdańskiego w tym roku ukazała się m.in. ścieżka wytyczona w dolinie Samborowo - Trójmiejski Park Krajobrazowy (pozycja dostępna wyłącznie w Zarządzie Parków Krajobrazowych w Gdańsku); w przygotowaniu jest ścieżka w Dolinie Radości. Poniższy materiał do powstającego folderu opisuje ścieżkę przyrodniczo-dydaktyczną we Wdzydzkim Parku Krajobrazowym. Będzie to pomoc w edukacji ekologicznej dzieci i młodzieży, prowadzonej w "Zielonej Szkole" w Schodnie. Być może poniższy tekst zainspiruje także Państwa do spaceru opisaną trasą i poznania uroków Parku.

Piesza ścieżka została poprowadzona wokół jeziora Schodno, nad którym położona jest niewielka osada o tej samej nazwie. Początek trasy i tablica informacyjna o ścieżce znajdują się przy "Zielonej Szkole" w Schodnie. Cztery inne tablice napotkamy przy stacjach oznaczonych kolejno numerami **1-4**. Na pokonanie całej trasy potrzebujemy około 3 godzin.

Opuszczamy Schodno, mając jezioro po prawej stronie, i wybieramy polną drogę porośniętą miejscami łanami kocanek piaskowych. Niebawem dochodzimy do mostka na Wdzie, za którym rozciąga się pas lasu łęgowego (**stacja 1**). Wraz z jeziorami Schodno i Jezierzno oraz częścią Wdy i Trzebiochy został on włączony do projektowanego rezerwatu faunistycznego "Trzebiocha". Głównym celem utworzenia rezerwatu jest ochrona tarlisk endemicznej odmiany troci jeziornej (*Salmo trutta morpha lacustris*), zwanej także wdzydzką. W przeciwieństwie do troci wędrownej, żyjącej poza okresem tarła na Bałtyku, ryba ta nie opuszcza nigdy rejonu Wdzydz. Jest zwierzęciem dwuśrodowiskowym - osobnikio młode przebywają

w miejscach tarlisk, tj. w górnym odcinku Wdy i jej dopływie Trzebiosze, a dopiero podrośnięte egzemplarze przenoszą się do jeziora Wdzydze; ma ono powierzchnię 1455,5 ha i maksymalną głębokość 68 m.

Wymieniony powyżej łęg - stosunkowo rzadki na terenie Wdzydzkiego Parku Krajobrazowego (WPK) typ lasu, zdominowany jest przez olszę czarną; rosną tu również brzoza brodawkowata, kruszyna pospolita, jeżyna, malina i paprocie. W maju i czerwcu sąsiednie podmokłe łąki czerwienią się od łanów kwitnącego stoplamka (storczyka) szerokolistnego, objętego ochroną gatunkową. Na brzegu Wdy widoczne jest bobrowe żeremie, zaś ślady zgryzów tych największych krajowych gryzoni widoczne są na skraju lasu. Zwierzęta na żer wychodzą zwykle nocą, dlatego rzadko można je napotkać za dnia. Wśród powalonych drzew najczęstsza jest topola osika, stanowiąca ich przysmak. W Parku odnotowano kilkanaście stanowisk bobra, i z roku na rok obserwuje się powiększanie populacji tego chronionego gatunku. Obecność bobrów wpływa na wzrost lokalnej różnorodności biologicznej, gdyż w miejscach ich bytowania, gdzie tworzą tamy, pojawiają się np. nowe gatunki ryb i powstają naturalne ostoje ptaków wodno-błotnych.

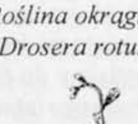
Dalsza trasa najpierw prowadzi wzdłuż jeziora, a następnie w górę skarpy przez bór sosnowy porośnięty gdzieniegdzie pospolitym jałowcem. W miejscach żyźniejszych napotkamy rośliny drzewiaste o większych wymaganiach edaficznych (glebowych). Należą do nich świerk pospolity, buk zwyczajny, leszczyna pospolita; w runie występuje nieczęsty tu szczawik zajęczy. Wzdłuż leśnego duktu, którym podążamy, rośnie sosnowy starodrzew nasienny (oznakowany na pniach kolorem żółtym), stanowiący bazę odnowieniową okolicznych lasów.



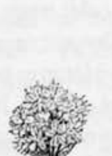
Sosna pospolita - Pinus sylvestris



Gałązka i kwiaty męskie, nasiono oraz szyszka sosny pospolitej



Rosiczka okrągłolistna - Drosera rotundifolia

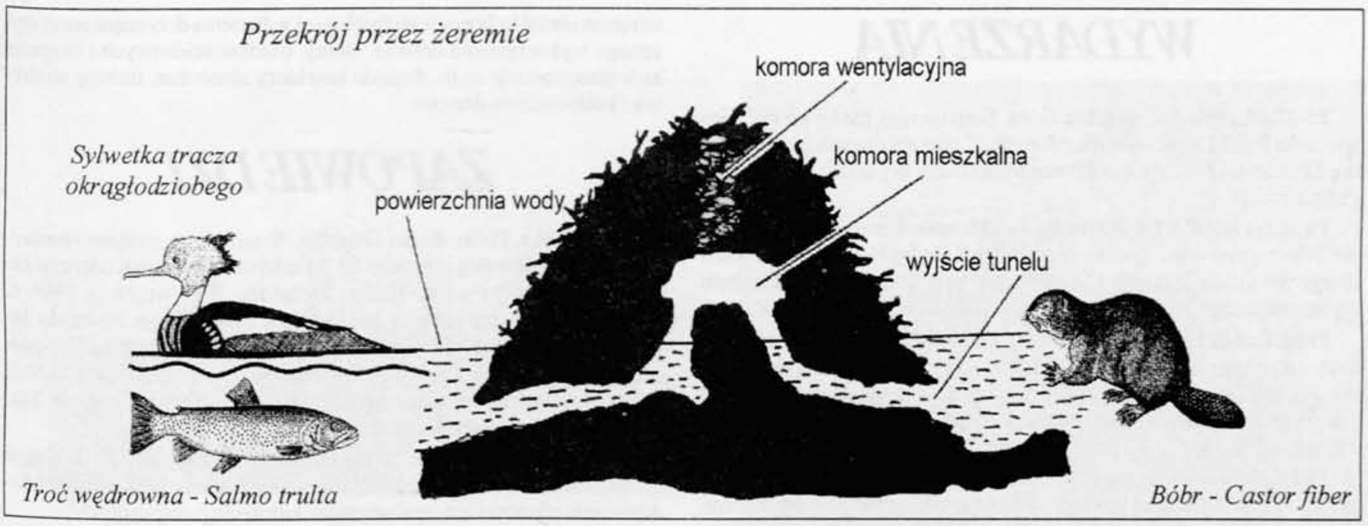


Bagno zwyczajne - Ledum palustre

Z nasion tutejszych sosen otrzymano sadzonki, służące do zalesiania zrębów i terenów porolnych. Pozyskiwanie materiału siewnego z lokalnych źródeł jest korzystne, bowiem wyhodowane drzewostany są genetycznie lepiej przystosowane do tutejszych warunków klimatycznych i glebowych, a zarazem są odporniejsze na choroby. Przy jednym ze świeżo zalesionych zrębów zlokalizowano **stację 2**. Obok, w polodowcowym obniżeniu terenu, znajduje się torfowisko wysokie, nazywane Sowim Bagnem. Masowo rośnie tam bagno zwyczajne oraz występują brzozy, których pnie są podłożem dla rzadkiego, chronionego gatunku porostu - brodaczki zwyczajnej. Wytrawny obserwator mógł po drodze wypatrzyć inne epifityczne (nadrzewne) porosty: pospolitą pustułkę pęcherzykowatą, skorupiasty, ściśle przylegający do podłoża paznokietnik ostrygowy i krzaczkowaty, objęty ochroną ścisłą mąklik otrębiasty; ostatni gatunek zasiedlił także pnie brzóz rosnących przed frontem "Zielonej Szkoły". Najbardziej widoczne są pospolite porosty naziemne - chrobotki - miejscami stanowiące prawie wyłączny składnik leśnego runa. Napotykane w sezonie letnio-jesiennym grzyby wielkoowocnikowe: borowik szlachetny, pieprznik jadalny (kurka), gąska zielonka, płachetka kołpakowata oraz gatunki z rodzajów gołąbek, muchomor i inne, współżyjąc z drzewami, pełnią w lesie bardzo ważną funkcję ekologiczną. Strzępki ich grzybni oplatają drobne korzonki sosen i następuje wymiana potrzebnych związków: drzewa przekazują grzybom substancje wzrostowe, zaś grzyby dostarczają współsymbiontom wody i soli mineralnych; zjawisko symbiozy niektórych grzybów i roślin nazwano mikoryzą. Dzięki niej drzewa lepiej rosną, szczególnie te na siedliskach suchych i jałowych, a więc mało zasobnych w związki pokarmowe. Często symbiotyczne grzyby wytwarzając substancje antybiotyczne, ochraniają dendroflorę przed organizmami chorobotwórczymi. Saprofityczne grzyby przyczyniają się do rozkładu ściółki, wzbogacając glebę w związki mineralne. Dlatego wymienione powyżej grzyby jadalne powinno się chronić, m.in. poprzez pozostawianie ich starych, przejrzałych owocników i oszczędzanie grzybni; z tego samego powodu nie należy niszczyć gatunków niejadalnych i trujących, np. muchomorów - czerwonego, cytrynowego, sromotnikowego. Niestety, niektóre gatunki mikoflory (inna nazwa grzybów) stanowią zagrożenie dla leśnych upraw, o czym można dowiedzieć się w dalszej części przewodnika.

Stosunkowo ubogie siedliska, położone na obszarze WPK, stwarzają dogodne warunki do rozwoju jedynie drzewostanom sosnowym oraz brzozowym i towarzyszącym im jałowcom, stąd inne gatunki drzew i krzewów nie są tu częste. Do lokalnych unikatów należy 200-letni dąb szypułkowy, któremu nadano status pomnika przyrody nr 856 (**stacja 3**). Owoce tego drzewa - żołędzie - wyrastają na długich szypułkach, stąd wzięła się nazwa gatunkowa. Są one cennym pokarmem wielu zwierząt, np. sójek, wiewiórek i dzików. Dąb osiągnął wysokość 17 m, a obwód pnia w pierśnicy (130 cm od powierzchni gruntu) ma 3,21 m. Pomnikami przyrody są dorodne pojedyncze drzewa i ich skupienia, np. aleje, oraz niektóre źródła, wodospady, wychodnie, skały, jaskinie, głazy narzutowe itp. wyróżniające się twory natury. Celem ochrony tych obiektów jest zachowanie ich wartości naukowych, kulturowych, historycznych lub krajobrazowych. Wokół pomnikowych drzew ustanawia się 15-metrową strefę ochronną, w której nie wolno naruszać gleby, składować drewna, wznosić budowli itd.

W rejonie pomnika napotkamy las wodoochronny. Został posadzony na gruntach porolnych, co, niestety, sprzyja rozwojowi grzyba - korzeniowca wieloletniego. Część drzewostanów



Troć wędrowna - Salmo trulta

Bóbr - Castor fiber

została porażona przez tego pasożyta korzeni i uschła. Aby ograniczyć szkodliwy dla upraw wpływ wspomnianego grzyba, naukowcy opracowali metodę infekowania martwych pniaków innymi gatunkami mikoflory. W wyniku szybkiego rozkładu pniaków przez te grzybowe saprofity, czyli roztocza, zanika jedna z baz pokarmowych korzeniowca; tym samym maleje jego populacja.

Zbliżamy się do Wdy. Na przydrożnych olszach możemy zauważyć mąklę tarniową - nowy gatunek porostu, zwany potocznie "mchem dębowym". Mijamy most i dalej brzozę rosnącą w pobliżu przydrożnego krzyża. Na jej pniu egzystują kolejne porostowe unikaty: włostka brązowa, przypominająca włosy, oraz brodaczka kępkowa; oba gatunki objęte są ochroną ścisłą. Dochodzimy do wsi Loryniec. Po lewej stronie króluje wspaniały pomnikowy 200-letni klon o nr. 857. Drzewo osiągnęło wysokość 19 m i mierzy 3,85 m obwodu na wysokości pierśnicy. Skręcamy w prawo, tak jak zaznaczono na mapce, i wędrujemy w stronę Schodna.

W drodze do "Zielonej Szkoły" skręcamy nad dwa urokliwe zatorfione oczka wodne (**stacja 4**). Obiekty takie, nazywane sucharami, pełnią w Parku ważną rolę ekologiczną, kształtując lokalny mikroklimat lasu; są także ostoją dla ptaków wodno-błotnych, m.in. żurawi, i stanowią miejsca lęgowe płazów: żab, ropuch i traszek. Toń zamieszkują wodne owady: pływak żółtobrzeżek, kałużnica, płoszczyca, pluskolec, a także taksony przechodzące rozwój larwalny w wodzie, jak np. ważki, jętki, niektóre muchówki, m.in. ochotkowate. W obrębie oczek zlokalizowane są siedliska higrofilnych roślin - egzystujących w obecności nadmiaru wody. Należą do nich znajdujące się pod ochroną ścisłą rosiczki: okrągłolistna, pośrednia i długolistna. Ubogie w związki pokarmowe podłoże torfowisk sprawia, że wymienione rosiczki pozyskują je z ciał chwytanych i trawionych owadów: mrówek, drobnych muchówek i chrząszczy. Na okrajkach oczek oraz na tzw. płach, czyli pływających wyspach zbudowanych z mchów torfowców, rosną karłowate sosny pospolite oraz czermień błotna i wełnianki - wąskolistna i pochwowata. Interesującym gatunkiem flory jest aromatyczne bagno zwyczajne, wymienione przy opisie Sowiego Bagna, objęte ochroną prawną - dlatego nie wolno go zrywać. Uwaga: warto wiedzieć, że roślina ta jest **trująca** zarówno dla zwierząt, np. zalatujących pszczół w okresie kwitnienia, jak i dla ludzi wdychających z powietrzem jej pyłek kwiatowy! Wilgotny mikroklimat torfowisk sprzyja egzystencji nadrzewnych porostów, np. rzadkiej brodaczki kępkowej, rosnącej na pniu sosny. Badania wykazały, że na zanieczyszczenia środowiska, spowodowane głównie emisją dwutlenku siarki (SO_2), najbardziej wrażliwe są porosty krzaczkowate, do których należą m.in. brodaczki. Ich obecność w Parku świadczy o stosunkowo dużej czystości powietrza. Dlatego w trakcie zwiedzania ścieżki warto zainteresować się i tymi organizmami, które niedawno włączono do królestwa grzybów.

Wracamy do drogi prowadzącej z Loryńca do Schodna i, odchodząc od niej w prawo, po chwili docieramy nad brzeg jeziora, gdzie leżą muszelki pospolitych małży i wodnych ślimaków: skójki zaostrzonej, szczeżui pospolitej, błotniarki stawowej, żyworódki jeziorowej. Na wodzie wypatrzymy niekiedy sylwetki ptaków, m.in. łabędzia niemego, perkoza dwuczubego, łyski, rzadko kormorana czarnego. W okresie jesiennych przelotów ptaków jezioro Schodno stanowi stałe miejsce wypoczynkowe stad gęsi, migrujących na południe i zachód Europy.

Wracamy ponownie do drogi prowadzącej do Schodna i wkrótce dochodzimy do "Zielonej Szkoły", gdzie kończymy przyrodniczą wycieczkę.

Jak dotrzeć do ścieżki. Autobusem PKS z Kościerzyny lub bezpośrednim z Gdańska dojeżdżamy do przystanku Loryniec-skrzyżowanie. Dalej poruszamy się pieszo w kierunku Schodna, gdzie wyznaczono początek ścieżki (patrz mapka). Przyrodniczą wycieczkę możemy rozpocząć także od pomnikowego klonu nr 857; po pokonaniu opisanej trasy wokół jeziora i dotarciu do Loryńca, wracamy do przystanku autobusowego.

Na wędrówkę opisaną trasą warto wybrać się o różnych porach roku, aby prześledzić zmiany zachodzące w przyrodzie. Wiosną będziemy podziwiać świeżą zieleń brzóz i łanów borówki czernicy, zachwycimy się żabimi koncertami. Latem możemy delektować się widokiem ukwieconych łąk i brzękiem owadów. Wreszcie jesienią będziemy świadkami przebarwiania się liści drzew i krzewów, a także masowego pojawiania się owocników grzybów. W zimie, z kolei, zastaniemy krajobraz spowity bielą śniegu i ogarnie nas wyjątkowa cisza, której tak bardzo brakuje mieszkańcom miast. Życzymy Państwu miłej wycieczki i sukcesów w odkrywaniu uroków przyrody Wdzydzkiego Parku Krajobrazowego.

Marcin S. Wilga
Wydział Mechaniczny
we współpracy z Dariuszem Podbereskim
z Zarządu Parków Krajobrazowych w Gdańsku

(rysunki autora)

WYDARZENIA

25-27.09.1998 r. Jastrzębia Góra. Seminarium naukowe pt. "Gospodarka Polski w okresie transformacji" zorganizowana przez Katedrę Ekonomii i Zarządzania Przedsiębiorstwem Wydziału Zarządzania i Ekonomii PG.

Październik 1998 r. Politechnika Gdańska. Seminarium nt. portu we Władysławowie organizowane przez Katedrę Budownictwa Morskiego Wydziału Inżynierii Środowiska; przewodniczącym komitetu organizacynnego był prof. dr hab. inż. Bolesław Mazurkiewicz.

Październik 1998 r. Politechnika Gdańska. Publiczna obrona pracy doktorskiej mgr inż. Barbary Wikieł, z Wydziału Inżynierii Środowiska Politechniki Gdańskiej, pt. "Analiza procesów samoorganizacji przepływu materiałów rozdrobnionych"; promotorem pracy był prof. Zbigniew Sikora.

12.10.1998 r. Politechnika Gdańska. Sympozjum pt. "Oczyszczanie wody i ścieków oraz unieszkodliwianie odpadów" zorganizowane przez Katedrę Technologii Wody i Ścieków Wydziału Inżynierii Środowiska; przewodniczącą komitetu organizacynnego była dr hab. inż. Krystyna Olańczuk-Neyman.

12-14.10.1998 r. Gdańsk - Jurata. VI konferencja "Konstrukcje powłokowe - teoria i zastosowania. SSTA '98" zorganizowana przez Sekcję Mechaniki Konstrukcji Komitetu Inżynierii Lądowej i Wodnej PAN, Katedrę Mechaniki Budowli Wydziału Budownictwa Lądowego PG oraz Polskie Towarzystwo Mechaniki Teoretycznej i Stosowanej Oddział Gdańsk; komitetowi naukowemu przewodniczył prof. dr hab. inż. Wojciech Pietraszkiewicz; komitetowi organizacyjnemu przewodniczył dr hab. inż. Jacek Chróścielewski.

21-24.10.1998 r. Stralsund (Niemcy). IV Międzynarodowe Sympozjum "Nauka dla praktyki" *Forshung, Didaktik und Praxis im modern Maschinenbau* zorganizowane naprzemiennie przez wydziały mechaniczne Politechniki Gdańskiej, Hochschule Bremen i Fachhochschule Stralsund; Sympozjum (ósme z kolei) stanowiło kontynuację seminariów *Wissenschaft für die Praxis* organizowanych przez wyżej wymienione czelnie.

26-28.10.1998 r. Politechnika Gdańska. Duńsko-polska konferencja "Biopaliwa" zorganizowana przez Katedrę Inżynierii Sanitarnej Wydziału Inżynierii Środowiska PG; przewodniczącym komitetu organizacyjnego był prof. dr hab. inż. Piotr Kowalik.

Listopad 1998 r. Politechnika Gdańska. Kolokwium habilitacyjne dr. Ryszarda Orłowskiego z Wydziału Inżynierii Środowiska; tytuł pracy: "Modelowanie matematyczne przepływów ustalonych w systemach wodociągowych".

5.11.98 r. Politechnika Gdańska. Sesja naukowa poświęcona sylwetce i działalności profesora Witolda Urbanowicza zorganizowana przez Katedrę Architektury Morskiej i Przemysłowej Wydziału Architektury PG; przewodniczącą komitetu organizacyjnego była prof. M. Stawicka-Wałkowska; wygłoszono 15 referatów oraz wyświetlono dwuczęściowy film o prof. Urbanowiczu; w sesji wzięło udział około 60 osób.

5-6.11.1998 r. Gdańsk. III Krajowa Konferencja Użytkowników Oprogramowania MSC, zorganizowana przez CTO Gdańsk oraz FAA Warszawa; członkiem komitetu programowego był prof. Edmund Wittbrodt z Wydziału Mechanicznego PG.

11.11.1998 r. Gdańsk, Bazylika Mariacka. Akt poświęcenia sztandaru NSZZ "Solidarność" Politechniki Gdańskiej podczas mszy św. w intencji Ojczyzny odprawionej w 80. rocznicę odzyskania przez Polskę niepodległości.

26-27.11.1998 r. Politechnika Gdańska. II Ogólnopolskie Seminarium Naukowe Studentów i Młodych Inżynierów Mechaników zorganizowane przez Koło Naukowe MECHANIK Wydziału Mechanicznego Politechniki Gdańskiej; tematem przewodnim seminarium było rynkowe zorientowanie inżyniera produkcji "od rynku do produktu i procesów".

26-29.11.1998 r. Politechnika Gdańska. Piąte seminarium polsko-duńskie poświęcone odnawialnym źródłom energii, a finansowane przez Komitet Badań Naukowych; ze strony polskiej organizatorem była Katedra Inżynierii Sanitarnej Wydziału Inżynierii Środowiska PG we współpracy z Urzędem Wojewódzkim w Gdańsku, a ze strony duńskiej Uniwersytet w Roskilde oraz władze regionu Storstroem; tematem obrad były nowe technologie i wdrożenia dotyczące energetycznego wykorzystania drewna, słomy, osadów ściekowych i biogazu; zademnostrowano m.in. duńskie kolektory słoneczne, turbinę wiatrową i kotłownię na drewno.

ZAPOWIEDZI

1.12.1998 r. Politechnika Gdańska. Seminarium naukowo-techniczne poświęcone osiągnięciom 29. Międzynarodowego Kongresu Żeglugi, który odbył się w Hadze, Holandia, 7-11 września 1998 r., organizowane przez Katedrę Budownictwa Morskiego Wydziału Inżynierii Środowiska PG we współpracy z Polskim Komitetem Współpracy z Międzynarodowym Stowarzyszeniem Żeglugi PIANC; przewodniczącym komitetu organizacyjnego jest prof. Bolesław Mazurkiewicz, kierownik Katedry Budownictwa Morskiego.

Grudzień 1998 r. Politechnika Gdańska. Kolokwium habilitacyjne dr. Adama Bolta z Wydziału Inżynierii Środowiska; tytuł pracy: "Modelowanie posadowień fundamentów konstrukcji wsporczych".

Grudzień 1998 r. Politechnika Gdańska. Kolokwium habilitacyjne dr. Romana Wichowskiego z Wydziału Inżynierii Środowiska; tytuł pracy: "Analiza przepływów nieustalonych w sieciach wodociagowych pierścieniowych".

Grudzień 1998 r. Politechnika Gdańska. Publiczna obrona pracy doktorskiej mgr. inż. Adama Krasińskiego, z Wydziału Inżynierii Środowiska Politechniki Gdańskiej, pt. "Analiza nośności fundamentów głębokich obciążonych siłami poziomymi w sprężysto-plastycznym ośrodku gruntowym"; promotorem pracy jest prof. Andrzej Tejchman.

9-11.12.1998 r. Rynia. II Konferencja Naukowo-Techniczna "Odporność udarowa konstrukcji" organizowana przez Polską Akademię Nauk, Wojskową Akademię Techniczną oraz Akademię Marynarki Wojennej; wiceprzewodniczącym komitetu naukowego jest prof. Edmund Wittbrodt z Wydziału Mechanicznego PG.

24-26.02.1999 r. Gdańsk. V Seminarium towarzyszące V Targom Producentów, Kooperantów i Sprzedawców Zespołów Napędowych i Układów Sterowania "Napędy i Sterowania '99" organizowane przez Wydziały PG: Elektroniki, Telekomunikacji i Informatyki, Elektrotechniki i Automatyki, Mechaniczny oraz Oceanotechniki i Okrętownictwa.

24-26.02.1999 r. Gdańsk. Eurocrane&Logtech - IV Międzynarodowe Seminarium Naukowe i Techniczne organizowane podczas IV Targów Urządzeń Dźwignicowych i Przenośnikowych Systemów Transportu Bliskiego i Logistyki na Międzynarodowych Targach Gdańskich przez Wydział Mechaniczny PG.

Marzec - listopad 1999 r. Politechnika Gdańska. IX cykl seminariów "Zastosowanie komputerów w dydaktyce '99" organizowane przez Polskie Towarzystwo Elektrotechniki Teoretycznej i Stosowanej; przewodniczącym komitetu naukowego jest dr inż. Ludwik Referowski z Wydziału Elektrotechniki i Autamatyki; przewodniczącym komitetu organizacyjnego jest dr inż. Dariusz Świsulski z Wydziału Elektrotechniki i Automatyki; wszelkie informacje można uzyskać: tel. 0 58 347 13 97, fax. 0 58 347 17 26, e-mail: dewis@ely.pg.gda.pl.

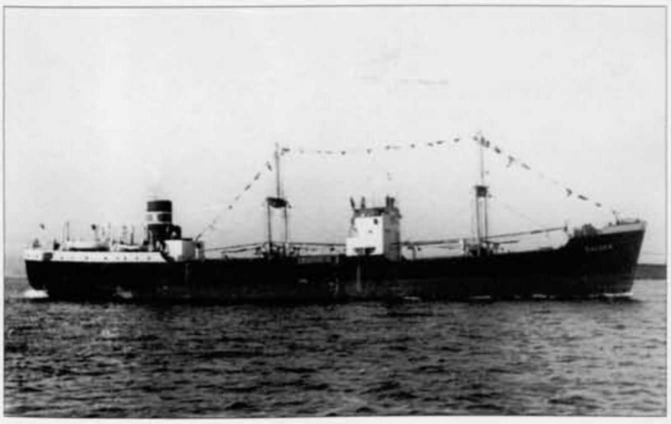
7-10.09.1999 r. Politechnika Gdańska. Międzynarodowa konferencja na temat zachowania dziedzictwa inżynierii pod nazwą "Preservation of the Engineering Heritage - Gdańsk Outlook 2000" organizowana przez Wydział Budownictwa Lądowego PG; Komitetowi Konferencji przewodniczą: prof. Zbigniew Cywiński (WBL) i prof. Edmund Wittbrodt (WM).

19-23.09.1999 r. Politechnika Gdańska. Konferencja pn. "Environmental Degradation Engineering Materials" organizowana przez Katedrę Inżynierii Materiałowej Wydziału Mechanicznego PG.

19-20.11.1999 r. Politechnika Gdańska. Konferencja pn. "Napęd hydrostatyczny maszyn. Rozwój i wytwarzanie" organizowana przez Katedrę Hydrauliki i Pneumatyki Wydziału Mechanicznego PG.

Listopad 1999 r. Politechnika Gdańska. III Konferencja "Mechanika '99. Nauka i praktyka" organizowana cyklicznie przez Wydział Mechaniczny PG we współpracy z wydziałami mechanicznymi Polski Północnej.

Opracowanie: Janina Poćwiardowska
Zespół ds. Informacji i Promocji





Z okazji 50. rocznicy wodowania pierwszego polskiego statku pełnomorskiego, rudowęglowca B30 s/s "SOŁDEK", w dniu 6 listopada 1998 r. w Centralnym Muzeum Morskim w Gdańsku odbyło się uroczyste sympozjum poświęcone historii pierwszych polskich pełnomorskich statków parowych, zbudowanych w polskich stoczniach. Napęd główny dla tych statków został skonstruowany w Katedrze Elementów Maszyn Politechniki Gdańskiej pod kierunkiem prof. Adolfa Polaka. Produkcja głównych okrętowych maszyn parowych odbywała się w hucie "ZGODA" w Świętochłowicach na Śląsku. Budowniczym s/s "SOŁDKA" był prof. Jerzy W. Doerffer.

Pięćdziesięcioletni Statek-Muzeum s/s "SOŁDEK" pełni rolę statku symbolu i historii polskiego przemysłu okrętowego i maszynowego, oraz pomnika pracy i trudu polskich stoczniowców, marynarzy, robotników, techników, inżynierów i naukowców.

Wzbogacone zostały karty historii morskiej, które pozostaną na zawsze w dziejach Państwa Polskiego.

Edward Gill
Wydział Mechaniczny

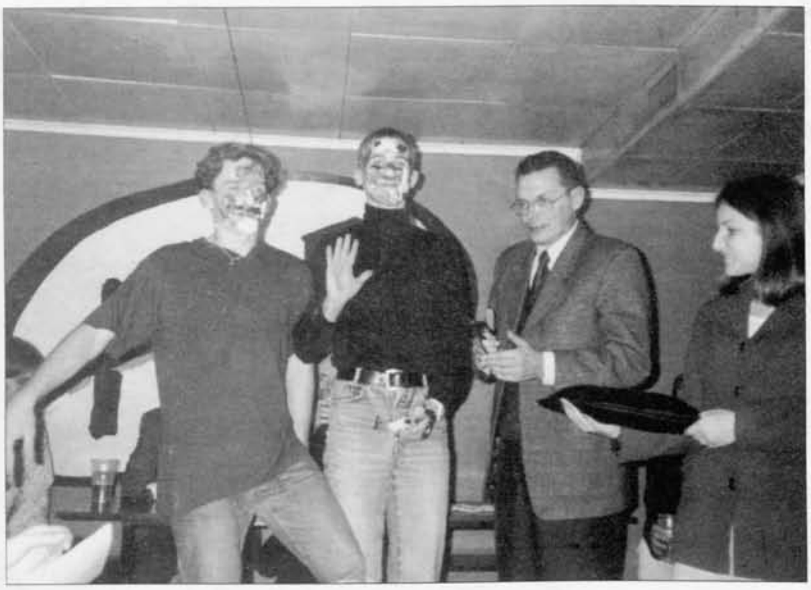






Fot. T. Chmielowiec







OTRZĘSINY '98 NA WYDZIALE MECHANICZNYM I NA WYDZIALE ZARZĄDZANIA I EKONOMII





